





NERON

Wsiągarnia M. ST. LEWICKIEJ

BRZESZCZANY

(Województwo łódzkie)

Wypożyczalnia: L: 20.

*Zakłady graficzne*  
*„POLSKA ZBROJNA”*  
*Warszawa*

ALEKSANDER DUMAS

# NERON

*Romans historyczny.*

**E. WENDE I SPÓŁKA WARSZAWA**  
KRAKÓW, LWÓW, POZNAŃ, GDAŃSK, I WILNO — POLSKIE  
TOWARZYSTWO KSIĘGARNI KOLEJOWYCH „RUCH” SP. AKC.



# I

Dnia 7 maja, który Grecy nazywają *targelion*, roku 57 od narodzenia Chrystusa, a 810 od założenia Rzymu, młoda dziewczica, od lat piętnastu do szesnastu, wysoka, piękna i zgrabna, jak uganianiająca się za jeleniem Dyana, wybiegła z Koryntu przez bramę zachodnią i skierowała się ku nadmorskiej równinie. Zbliżywszy się do małej smugi, ocienionej z jednej strony gajem oliwnym, z drugiej zaś ograniczonej wijącym się wśród drzew pomarańczowych i różowego lauru strumieniem, zatrzymała się i zajęła zbieraniem kwiatów. Tu ją wabiły wykwitłe w cieniu drzewa Mi nerwy fiołki, tam zarastające brzegi strumienia lub unoszące się na jego powierzchni narcyzy i grzybienie; te ostatnie odniosły przewagę, bo, podskakując ze zwinnością wiewiórki, pobiegła ku strumieniowi.

Zbliżywszy się ku wybrzeżu, stanęła; ze wzruszenia z szybkiego biegu rozplynęły się jej po ramionach długie warkocze; uklękła nad wodą, spojrzała w nurty i uśmiechnęła się, widząc się tak piękną. Wistocie była to najpiękniejsza z dziewczec Koryntu: oczy czarne i palające, nos jónski, usta koralowe; ciało, mające twardość marmuru i giętkość trzciny, zdawało się być posągim Lidyasza, ożywionym przez Prometeusza; tylko jej stopy, widocznie zbyt małe do całej postawy, je dyną zdawały się wadą, jeżeli tak nazwać można

podobną niedoskonałość w młodej dziewczynie: słowem tak była zachwycającą że jakkolwiek jest kobietą, używając jej w tej właśnie chwili zwierciadła leż swoich Nimfa Pyrena, nie mogła się jednak powściągnąć od odbicia jej obrazu w całej czystości i wdzięku.

Po chwili niemego zastanowienia, młoda dziewczica podzieliła swe włosy na trzy części, spleciała dwa warkocze na skroniach, połączyła je nad głowę uwitym wieńcem z lauru różowego i kwiatów pomarańczowych, i zostawiając w tyle głowy rozplywające się pukle, nachyliła się ku wodzie dla ugaszenia pragnienia.

Rzeczywistość i obraz zbliżyły się ku sobie nieznacznie, jakby dwie siostry, Nimfa i Najada, które słodki pocałunek jednoczył: zetknęły się już usta w wilgotnej kąpieli, wzdrygnęła się woda, a lekki zefir, wionąc w powietrzu jakby tchnieniem rozkoszy, zasypał wodne kryształki śniegiem wonnej róży i ruchomymi nurtami szybko uniósł do morza.

Dziewica podniosła się, a skierowawszy oczy ku odnodze, stanęła jak wryta; wytworna galeon o dwóch rzędach wiosel, o złożonych bokach i żaglach purpurowych płynęła ku brzegom, pędzona wiatrem od Delos; chociaż jeszcze o ćwierć mili oddalona od lądu, już słychać było głosy majstków, śpiewających hymn do Neptuna. Dziewica poznała tryb frygijski, poświęcony hymnom religijnym; ale zamiast nieokrzesanych dźwięków kalidońskich lub cefalońskich żeglarzy, uderzające jej ucho tony, chociaż jeszcze rozproszone oddaleniem i wiatrem, były umiejętnie i zgodne, jak śpiewy kapłanek Apolina. Uniesiona tą melodją,



młoda Koryntjanka ułamała kilka gałązek pomarańczowych i laurowych, z zamiarem uwicia wienca i złożenia go w świątyni Flory, której miesiąc maj był poświęcony: potem krokiem powolnym, ciekawym i bojaźliwym zarazem, postąpiła ku morzu, splatając wonne gałązki.

Tymczasem zbliżyła się biremma \*) i już nie tylko mogła dziewczica słyszeć dokładnie melodję, ale nawet widzieć twarze śpiewaków: jeden koryfeusz śpiewał inwokację do Neptuna którą za każdym zwrotem powtarzały chóry w tak słodkim i subtelnym rytmie, że całość harmonji zdawała się naśladować regularne poruszenia majtków, zginających się ku wiosłom i wiosł spadających do morza. Koryfeusz, śpiewający główną melodję, zdawał się być panem statku; stał przy sztabie i akompanjował sobie na cytrze o trzech strunach, podobnej do tej, którą snycerze dają Euterpie, Muzie harmonji; u nóg jego leżał niewolnik okryty długą, azjatycką szatą, której krój zdawał się być właściwy tak obu płciom, iż młoda dziewczica nie poznała, czyli to był mężczyzna czy kobieta. Muzykalni wiosłarze stali przy swoich ławach i takt wybijali rękami, dziękując Neptunowi za przychylny wiatr, który ich darzył wypoczynkiem.

Widok ten, który na dwa wieki przedtem, ściągnąłby zaledwie uwagę dziecka, szukającego konch w piasku nadmorskim, zdziwił w najwyższym stopniu młodą dziewczynę. Korynt nie był już tem, czem za czasów Sylli: współzawodnikiem i bratem Aten; konsul Mummiusz, zdobywszy go szturmem w roku 608 od założenia Rzy-

---

\*) Statek o dwóch rzędach wiosel.

mu, wyciął w pień wszystkich obywateli, zaprzędał w niewolę kobiety i dzieci, spalił domy, rozwalil mury, posłał do Rzymu posagi, a obraży, z których jeden chciał kupić Ataljusz za milion sestercyj, poszły pod nogi rzymskich żołnierzy, których Polibiusz widział grających w kości na tem arcydziele Aristidesa, z Teb. Odbudowany w ośmdziesiąt lat potem przez Juljusza Cezara, który osadził w nich rzymską kolonję i powrócił do życia, jeszcze nie odzyskał bynajmniej dawnej swojej świetności. Obecnie prokonsul rzymski, chcąc mu przywrócić cokolwiek dawnego znaczenia, ogłosił na dziesiąty maja i dni następne, igrzyska nemejskie, istmickie i florejskie, na których miał uwieńczyć najsilniejszego atleteę, najzręczniejszego woźnicę i najumiejętniejszego śpiewaka. Skutkiem tego od dni kilku tłumy cudzoziemców ze wszystkich krajów zbiegały się do stolicy Aktei, nęczone ciekawością, lub też żądzą zdobycia nagród, co nadawało miastu, jeszcze słabemu wskutek wylewu krwi i bogactw straconych, świetność i zgiełk jego dni upłynionych; jedni przybywali na wozach, inni na koniach, i tani znowu na statkach, które najmowali lub budowali umyślnie; żaden jednak nie zawinął do portu na tak przepysznym okręcie, jakim był przybijający w tej chwili do brzeg, o który niegdyś toczyli spór Apollo z Neptunem.

Gdy wyciągnięto na piasek biremmę, majtkowie przystawili do pokładu stopnie z drzewa cytrynowego, wysadzanego srebrem i miedzią, i zstał po nich śpiewak; cytrę zarzucił na plecy, wsparł się na niewolniku, któregośmy widzieli leżącego u jego nóg. Śpiewak był pięknym młodzieńcem od dwudziestu siedmiu do dwudziestu

ośmiu lat; miał włosy jasne, oczy niebieskie, brodę złotawą; odziany był w tunikę purpurowo-niebieską, zasnutą złotemi gwiazdami chlamydę, na szyi zaś miał szarfę, od węzła której długie końce spływały do pasa. Drugi zdawał się być młodszy o lat dziesięć: było to dziecię, zaledwie zbliżające się do wieku młodzieńczego. Miał chód powolny, minę cierpiącą i smutną; ale świeżość jego lica zawstydziłaby cerę kobiety, skóra różana i przezroczysta mogłaby walczyć o pierwszeństwo z miękkością najrozkoszniejszych dziewic ateńskich, a ręka biała i pulchna zdawała się raczej stworzona do wrzeciona lub igły, niż do miecza lub włóczni. Odziany był w białą szatę do kolan, obrzuconą palmami złotemi; włosy w gęstych splotach spadały mu na odkryte ramiona, a na piersiach wisiało na złotym łańcuchu małe zwierciadélko, osadzone perlami.

W chwili gdy miał dotknąć ziemi, towarzysz zatrzymał go nagle; młodzieniec wzdrygnął się

— Czego chcesz, panie? — rzekł głosem łagodnym i bojaźliwym.

— Lewą nogą chciałeś stanąć na brzegu i tym nierozważnym postępkim mogłeś narazić owoce wszystkich mych wyrachowań, dla których przybywam tu w dniu błgiej wróżby.

— Masz słuszość, panie — rzekł młodzieniec, poczem wszedł na brzeg nogą prawą, a towarzysz jego uczynił to samo.

— Cudzoziemcze — rzekła młoda dziewica do starszego z dwóch przybylców słysząc, iż przemawiał w jońskim języku — ziemia Grecji, którą bądź dotkniesz jej nogą, przychylną jest każdemu, co na niej staje w przyjaznem usposobieniu: jest to kraina miłości, poezji i walki; ma ona więć

ce dla kochanków, poetów i wojowników. Ktośkolwiek jesteś, przyjmij ten, nim pozyskasz inny, po który zapewne przybywasz.

Młody człowiek żywo ujął i włożył na swą głowę wieniec, który mu podawała Koryntjanka.

— Bogowie są nam przychylni! — zawołał. — Drzewo pomarańczowe, to jabłoń Hesperidow, której złote owoce dały zwycięstwo Hippomenowi, wstrzymując bieg Atalanty, a ten laur różowy, to drzewo ulubione przez Apolina. — Jak się nazywasz, proroczko szczęścia?

— Nazywam się Aktea — odpowiedziała rumieniąc się dziewczica.

— Aktea! — zawołał starszy z przybyłców. — Słyszysz, Sporusie? Nowa wróżba: Akte, znaczy *brzeg*. Tak więc ziemia Koryntu czekała na mnie z swym wieniec.

— Cóż w tem dziwnego? Czyż nie jesteś ulubieńcem bogów, Lucjusz? — odpowiedziało dziecię.

— Jeśli się nie mylę — zapytała bojaźliwie dziewczica — przybywasz dla ubiegania się o jedną z nagród, obiecanych zwycięzcom przez prokonsula rzymskiego?

— Łączysz talent odgadywania z darem piękności — rzekł Lucjusz.

— I masz pewnie krewnych w Koryncie?

— Cała moja rodzina jest w Rzymie.

— Może przyjaciela?

— Jedyńm moim przyjacielem jest ten, którego widzisz, i jak ja jest obcy w Koryncie.

— Może więc jakich znajomych?

— Żadnych.

— Dom nasz jest obszerny, a mój ojciec gościnnie — rzekła dalej dziewczica. — Czy Lucjusz

raczy nas obdarzyć pierwszeństwem? Zaniesiemy modły do Kastora i Poluksa, aby mu byli przychylni...

— Czy nie jesteś czasem ich siostrą Heleną, młoda dziewico? — przerwał Lucjusz, uśmiechając się. — Mówią, że lubiła ona kąpać się w źródle, które musi być stąd niedaleko. To źródło miało dar przedłużania życia i uwieczniania piękności. Wenus objawiła tę tajemnicę Parysowi, a ten musiał powierzyć ją tobie. Jeżeli to prawda, prowadź mnie do tego błęgiego źródła, piękna Akteo: odkąd bowiem cię ujrzałem, chciałbym żyć wiecznie, aby widzieć cię zawsze.

— Niestety! nie jestem boginią — odpowiedziała Aktea — a źródło Heleny nie ma tych cudownych przymiotów; zresztą, nie mylisz się względem jego położenia, gdyż oto tu, o kilka kroków, spada do morza ze szczytu skały.

— Ten więc gmach, który wznosi się przy nim, jest świątynią Neptuna?

— Tak jest. A ta ulica ocieniona sosnami, wiesz, do stadium. Powiadają, że dawniej stał posąg przed każdym drzewem; ale zabrał je Mumiusz i na zawsze opuściły moją ojczyznę dla twojej. Czy chcesz pójść tą ulicą, Lucjuszu? Wiedzie ona do domu mojego ojca.

— Co myślisz o tem zaproszeniu, Sporusie? — zapytał młody człowiek towarzysza, zmieniając język i mówiąc po łacinie.

— Myślę, że Fortuna nie dała ci powodu wątplenia o jej dla ciebie stałości.

— Dobrze, zawierzmy jej i ten raz jeszcze, nigdy bowiem nie przedstawiała mi się pod tak pociągającą i czarowną postacią.

Zmieniając znowu mowę i odzywając się w jej

zyku jońskim, którym mówił z największą czy-  
stością, rzekł do Aktei:

— Prowadź nas, młoda dziewico, jesteśmy go-  
towi ci towarzyszyć. Sporusie, zaleć Libikusowi.  
aby czuwał baczenie nad Febe.

Aktea udała się naprzód, a niewolnik, wypeł-  
niając rozkaz swojego pana, wrócił na okręt.

Zbliżywszy się do stadium, Aktea zatrzyma-  
ła się.

— Patrz — rzekła do Lucjusza — oto gymna-  
sium. Jest w pogotowiu i świeżym przesypane  
piaskiem, pojutrze bowiem dzień igrzysk, które  
rozpoczynają zapasy. Na prawo, z drugiej strony  
strumienia, u końca tej sosnowej ulicy, wznosi się  
hippodrom; drugi dzień, jak ci wiadomo, zostanie  
poświęcony wozowym wyścigom. Nakoniec w po-  
łowie drogi do tego pagórka w kierunku cytadeli,  
widzisz teatr, w którym najbiegłęjszy śpiewak ma  
otrzymać palmę zwycięstwa. O którą z tych  
trzech nagród zamyśla ubiegać się Lucjusz?

— O wszystkie trzy, Akteo.

— Jesteś zarozumiała, młodzieńcze.

— Liczba trzy podoba się bogom — rzekł Spo-  
rus, dopędzając towarzysza, poczem goście, pod  
przewodnictwem pięknej swej gospodyni, udali  
się w dalszą drogę.

Zbliżając się do miasta, Lucjusz zatrzymał się.

— Co znaczy ten wodotrysk — zapytał — i te  
płaskorzeźby uszkodzone? Zdają się one należeć  
do najpiękniejszych czasów Grecji?

— Jest to wodotrysk Pyreny — wyjaśniła Ak-  
tea — w tem właśnie miejscu jej córkę zabiła Dja-  
na, a widząc boleść matki, zamieniła ją w źródło  
nad ciałem dziecka, które oplakiwała. Co do płas-  
korzeźby, jest ona dziełem Lizippa, ucznia Fidja-  
sza.



— Patrz, Sporusie — zawołał z zapalem młody dzieńec — patrz, co za uczucie! co za wyraz! Jest to potyczka Ulissesa z kochankami Penelopy. nieprawdaż? Czy widzisz, jak ten człowiek raniiony umiera? Pocisk ugodził go niżej serca; dwa cale wyżej, a nie byłoby konania. O! biegłym był mistrzem ten snycerz i znał dobrze swą sztukę. Rozkażę przenieść ten marmur do Rzymu lub Neapolu; chcę go mieć w mojem atrium. Jeszczem nigdy nie widział człowieka, umierającego z taką prawdą boleści.

— Jest to jeden z ostatków naszej dawnej świetności — rzekła Aktea — miasto pyszni się niemi i jak matka, co utraciła najpiękniejsze swe dzieci, tem silniej przywiązana jest do tych, które jej pozostały. Wątpię, czyś tak bogaty Lucjusz, abyś mógł zakupić te szczątki.

— Zakupić! — odpowie Lucjusz z wyrazem niewysłowionej pogardy. — Nie potrzebuję kupować, gdy mogę wziąć. Jeżeli zapragnę tego marmuru, mieć go będę, chociażby cały Korynt był temu przeciwny.

Sporus ścisnął pana swego za rękę.

— Jeżeli tylko piękna Aktea — dodał Lucjusz spostrzegłszy się — nie zapragnie, aby ten marmur pozostał w jej Ojczyźnie.

— Równie nie pojmuję twojej władzy jak i mojej w tym względzie, Lucjusz! zawsze jednak dziękuję ci za to, coś powiedział. Zostaw nam nasze szczątki, Rzymianinie i nie dokonywaj dzieła twoich ojców. Oni przybyli jako zwycięzcy — ty jako przyjaciel; co z ich strony było barbarzyństwem, z twojej byłoby świętokradztwem.

— Uspokój się, młoda dziewico — rzekł Lu-

cjusz — zaczynam bowiem spostrzegać, że Korynt posiada stokroć szacowniejsze rzeczy nad płaskorzeźbę Lizippa, która jest zawsze tylko marmurem. Gdy Parys przybył do Lacedemony, nie uwiózł stamtąd ani posagu Minerwy, ani Djanu, ale Helenę, najpiękniejszą Spartanę.

Aktea spuściła oczy pod ognistym spojrzeniem Lucjusza i idąc czas jakiś w milczeniu, weszła na koniec do miasta. Dwaj Rzymianie postępowali za nią.

Korynt odzyskał ruch i żywość dawnych dni swoich. Ogłoszenie igrzysk, które miały być obchodzone, zwabiły ludność nie tylko ze wszystkich części Grecji, ale nawet z Sycylii, Egiptu i Azji. Każdy dom miał gościa i przybyszy nasi wielkiej doznaliby trudności w znalezieniu przytułku, gdyby Merkury, bóg podróżnych, nie wysłał na ich spotkanie gościnnej dziewczyny. Pod jej przewodnictwem, przebyli główny targ miasta, gdzie wystawione były w pomieszczeniu papyrus i len Egiptu, kość słoniowa Libji, kobierce Kartaginy, daktyle Fenicji, purpura Tyru, skóry Cyreny, kadzidło i mirra Syrii, niewolnicy Frygji, konie Selimentu, miecze Celtyberów i koral Gallów. Idąc dalej, weszli na plac, na którym wznosił się niegdyś posąg Minerwy, arcytwór Fidjasza, potem skierowali się ku jednej z ulic, rozchodzących się z tej przestrzeni i o kilka kroków zatrzymali się przed starcem, stojącym na progu swojego domu.

— Mój ojciec — rzekła Aktea — oto Zeus przysłał ci gościa; spotkałam go w chwili, gdy wysiadał ze statku i ofiarowałam mu w twoim imieniu gościnę.

— Witam cię z uprzejmością, złotobrody młodzieńcze — odpowiedział Amikles.



To rzekłszy, otworzył jedną ręką drzwi swego domu, a drugą podał Lucjuszowi.

## II

Nazajutrz młody Rzymianin, Aktea i jej ojciec, zgromadzeni w *triclinium* około zastawionego stołu, zabierali się do wybrania króla biesiady. Starzec i młoda dziewczica chcieli bez losowania zaszczyt ten uczynić cudzoziemcowi; ale gość ich, czy to przez przesąd, czy przez szacunek dla zwyczaju, nie przyjął ofiarowanej sobie korony. Przyniesiono więc kości i podano kubek starcowi, który wyrzucił los Herkulesa. Rzut Aktei, wydał los Wozu. Nakoniec ta ostatnia podała kubek Rzymianinowi, który wziął go z widocznym niepokojem, wstrząsał długo, ze drżeniem wysypał kości na stół i wydał okrzyk radości, widząc wynik rzutu; był to los Wenery, wszystkie inne przeważające.

— Patrz, Sporusie — zawołał w języku łacińskim — patrz, jak stanowczo są z nami bogowie. Jowisz nie zapomina, że jest ojcem mojego plemienia... Los Herkulesa, Wozu i Wenery. Mógłżeby nastąpić wypadek szczęśliwszej wróżby dla tego, co przybywa walczyć o pierwszeństwo w zapasach, gonitwach i śpiewie, a ten ostatni czyliż mi nie zapowiada podwójnego triumfu?

— Tyś się w dniu szczęśliwym urodził — odpowiedział niewolnik — i słońce dotknęło cię wprzód, nim sam ziemi dotknąłeś. I tym razem, jak zawsze, zwyciężysz wszystkich współzawodników.

— Niestety! były czasy — rzecze starzec językiem, którym mówił cudzoziemiec — iż Grecja przedstawiłaby przeciwników godnych walki z tobą o zwycięstwo; ale już minęła dla nas epoka, w której Milon Krotończyk sześć razy został uwieńczony na igrzyskach pityjskich, a Ateńczyk Alcybiades siedm wozów posłał na igrzyska olimpijskie i zdobył cztery nagrody. Grecja już postradała swą sztukę i siłę, a Rzym od czasów Cicerona wysyła do nas wszystkie swe dzieci i wszystkie nam palmy wydzierają. Niech więc Jowisz, którego się mienisz potomkiem, wspiera cię, młodzieńcze! Po chlubie bowiem odniesienia zwycięstwa przez jednego z moich współziomków, za największą poczytałbym przyjemność, gdyby los posłużył mojemu gościowi. Tymczasem moja córka przyniesie ci wieniec z kwiatów, za nim będziesz miał prawo ozdobić skronie laurowym.

Aktea wyszła i za chwilę powróciła, niosąc wieniec z mirtu i szafranu dla Lucjusza, z bluszczu dla swego ojca, a z róż i lilij dla siebie; oprócz tych, niewolnik przyniósł większe girlandy, które biesiadnicy włożyli na szyje. Później Aktea usiadła na łożu ze strony prawej, Lucjusz położył się na miejscu konsularnem, a starzec, stojąc między córką i gościem, odbył libację z wina, odmówił modlitwę do bogów, później położył się także mówiąc do młodego Rzymianina:

— Widzisz, mój synu, żeśmy zjednoczeni podług przepisanych warunków, ponieważ liczba biesiadników, jeżeli mamy wierzyć jednemu z naszych poetów, najmniej wyrównywać powinna liczbę Grecji, a najwięcej Muz. Niewolnicy, podajcie pierwsze dania.

Przyniesiono zastawioną tacę; słudzy stanęli, gotowi na każde skinienie. Sporus położył się u nóg swego pana, ofiarując mu długie swe włosy do ocierania rąk i scissor\*) rozpoczął swe dzieło.

Na początku drugiego dania, gdy już pierwszy apetyt biesiadników został zaspokojony, starzec zwrócił oczy na swego gościa i wpatrując się z dobrotliwym wyrazem starości w piękną twarz Lucjusza, której blond włosy i złotawa broda szczególną nadawały cechę, zapytał:

— Czy przybywasz z Rzymu?

— Tak jest, mój ojciec — odpowiedział młodziwiec.

— Prosto ze stolicy?

— Wsiadłem na okręt w porcie Ostyi.

— Czy zawsze czuwają bogowie nad boskim cezarem i jego matką?

— Zawsze.

— Czy cesarz przygotowuje jaką wojenną wyprawę?

— W tej chwili uległy mu są wszystkie ludy. Cezar, pan świata, obdarzył nas pokojem, podczas którego zakwitły sztuki; zamknął świątynię Janusa, poczem wziął lirę, dla złożenia bogom dziękczynień.

— I czyliż się nie obawia, aby inni panowali, gdy on zajęty śpiewaniem?

— Co! — rzekł Lucjusz porywczo, marszcząc brwi — myślą więc w Grecji, że cesarz jest dzieckiem?

— Nie, ale się obawiają, by nie zapóźno został mężem.

— Wszakże przywdział szatę męską na pogrzebie Brytannika?

---

\*) Krajacz.

— Brytannikus oddawna został na śmierć skazany przez Agrypinę.

— Tak jest, ale cesarz go zabił. Ja ci to mówię, ja... Nieprawdaż, Sporusie?

Dziecię podniosło głowę i uśmiechnęło się.

— Zamordował brata! — zawołała Aktea.

— Oddał synowi to, co matka dla niego samego przygotowała. Jeżeli nie wiesz sama, dziewczyno, spytaj ojca, który zdaje się być świadomym tych rzeczy, a on ci powie, że Messalina posłała żołnierza, aby zabił Nerona w kolebce; że już miał żołnierz uderzyć, gdy dwa węże wypadły z łóża dziecięcia i odegnały centurjona... Nie, nie, uspokój się, mój ojczy, Neron nie jest ani tak niedołężny jak Klaudjusz, ani szalony jak Kalligula, ani nikczemny jak Tyberjusz, ani histryczem, jak August.

— Mój synu — rzekł starzec przełknięty — czyś się zastanowił nad tem, że słowa twoje są bluźnierstwem przeciw bogom?

— Zabawni bogowie, przez Herkula! — zawołał Lucjusz — zabawny to bóg Oktawjusz, który obawiał się ciepła, zimna, piorunów, który przybył z Apolonji i ukazał się starym legjom cesarza, kulejąc jak Wulkan; zabawny bóg, którego ręka była tak słabą, iż nie mogła dźwignąć ciężaru pióra, który przeżył wiek, nie śmiejąc ani razu okazać się panem i umarł pytając, czy dobrze grał swoją rolę! Zabawny bóg Tyberyusz, ze swym Olimpem w Kaprei, na którym siedział ukryty, jak morski zbójca na okręcie, uwięzionym kotwicą, mając po prawicy Trazyllesa, przewodnika duszy, a po lewicy Charyklesa, dozorcę ciała; który posiadając świat i mogąc, jak orzeł, rozpostrzeć nad nim swe skrzydła, ukrył się w dziurze skały, jak sowa!

Zabawny to bóg ów Kaligula, któremu napój głowę zawrócił, a który mniemał że jest wielki, jak Kserkses, ponieważ postawił most z Puzzoli do Bai, i potężny jak Jowisz, ponieważ naśladował huk grzmotu, nakazując toczyć wóz spiżowy po moście miedzianym; który mienił się narzeczonym księżycą, a którego Chereasz i Sabinus dwudziestu razami miecza posłali aby zawarł to małżeństwo w niebie! Zabawny to bóg ów Klaudjusz, którego znaleziono za obiciem, gdy go szukano chcąc ofiarować władzę, który będąc niewolnikiem i igraszką czterech żon swoich, podpisał akt małżeństwa jednej z nich. Mesaliny z Syliuszem swym wyzwolńcem; zabawny bóg, któremu drgały kolana, a wargi za każdym słowem powlekały się pianą, któremu plątał się język i głowa trzęsła mimowolnie; zabawny bóg, który przebył cały żywot w pogardzie, nie umiejąc stać się postrachem, a który umarł, najadłszy się grzybów, uzbieranych przez Halotusa, obranych przez Agrypinę i przyrzadzonych przez Lokustę! Ach! raz jeszcze, jakże zabawni bogowie i jak szlachetnie muszą wyglądać w Olimpie, obok Herkulcsa, pana maczugi, Kastora woźnicy i Apolina, boga liry!

Długie milczenie nastąpiło po tych nierozważnych i świętokradzkich wyrazach. Amikles i Aktea z zadziwieniem przypatrywali się swemu gościowi, gdy wszedł niewolnik i oznajmił przybycie posłańca od Knejusa Lentula. Starzec zapytał, czy posłaniec ten przybywał do niego, czy też do gościa, którego miał w domu. Niewolnik o tem nie wiedział i liktor został wprowadzony.

Przybywał on do cudzoziemca. Prokonsul dowiedział się, że okręt zawinął do portu, że pan

jego miał zamiar ubiegania się o nagrodę, rozkazywał mu przeto stawić się w pałacu prokonsularnym, dla zapisania swego nazwiska i oświadczenia, w którym z trzech igrzysk zamierzał uczestniczyć. Amikles i Aktea powstałi aby przyjąć rozkazy prokonsula; Lucjusz wysłuchał ich leżąc.

Gdy liktor skończył, Lucjusz dobył kilka tabliczek z kości słoniowej, naprowadzonych woskiem, napisał na jednej z nich stylem kilka wierszy, wycisnął pieczęć swoim pierścieniem i oddał odpowiedź swą liktorowi, rozkazując zanieść ją do prokonsula. Wahał się liktor zdziwiony; Lucjusz dał znak rozkazujący; żołnierz uklonił się i wyszedł. Poczem Lucjusz klasnął w ręce na niewolnika, podał mu swą czarę, która wnet napełniła się winem, wychylił z niej połowę za pomyślność gospodarza i jego córki i oddał resztę Sporusowi.

— Młodzieńcze — rzekł starzec, przerywając milczenie — mówisz, żeś Rzymianinem, a jednak zaledwie mogę temu uwierzyć. Jeżeliś żył w grodzie cesarów, powinienbyś mieć większe uszanowanie dla reprezentantów władcy Rzymu i świata: prokonsul jest tu panem tak samowładnym i tak szanowanym, jak sam Klaudjusz Neron w Rzymie.

— Czyś zapomniał, że bogowie zrównali mię z cesarami, obierając królem biesiady? Czy kiedykolwiek widziano, aby król schodził z tronu na rozkazy prokonsula?

— Czyliżeś odmówił posłuszeństwa prokonsulowi? — spytała Aktea z przestachem.

— Nie, ale napisałem do Lentula, że jeżeli chce wiedzieć, jak się nazywam i w jakim celu



przybyłem do Koryntu, winien przyjść sam, aby o to zapytać.

— I sądzisz, że on przyjdzie? — spytał starzec.

— Bezwątpienia — odpowiedział Lucjusz.

— Tu, do mego domu?

— Słuchaj — rzecze Lucjusz.

— Cóż takiego?

— To on stuka do drzwi: poznaję brzęk różeg liktorów. Każ otworzyć, mój ojciec i zostaw nas samych.

Starzec i jego córka, zdziwieni udali się ku drzwiom; Lucjusz leżał nadal.

Nie mylił się wistocie: był to sam Lentulus. Czoło jego potem zroszone, okazywało, jak skwapliwie biegł na wezwanie cudzoziemca: spytał głosem szybkim i niespokojnym, gdzie jest szlachetny Lucjusz i jak tylko wskazano mu miejsce, zrzucił togę i wszedł do triclinium; drzwi się za nim zamknęły, a liktorowie uszykowali się natychmiast za niemi.

Nikt nie wiedział, co zaszło podczas tego widzenia się, bo po kwadransie oddalił się prokonsul, a Lucjusz przyszedł pod peristil, gdzie Amikles używał przechadzki z Akteą; twarz jego była spokojna i uśmiechnięta.

— Mój ojciec — rzekł — wieczór tak jest pogodny, czy nie zechcesz towarzyszyć gościowi twemu do cytadeli, skąd ma być widok wspaniały? Chciałbym się nadto przekonać, czy wypełniono rozkazy cezara, który dowiedziawszy się, że mają być obchodzone w Koryncie igrzyska, odesłał starożytny posąg Wenery pragnąc, aby sprzyjała Rzymianom, przybywającym dla ubiegania się o nagrody.

— Niestety! mój synu — odpowiedział Amikles — zbyt jestem już stary, abym mógł służyć w górach za przewodnika, ale oto Aktea, która wyrównywa Nimfie lekkością; niech ona ci towarzyszy.

— Dziękuję ojczy, nie prosilem cię o tę łaskę z obawy, aby jej Wenus nie pozazdrościła i nie chciała mścić się nade mną za piękność twojej córki. Ale ty mi ją ofiarowujesz, więc nabieram odwagi.

Aktea uśmiechnęła się zapłoniona i posłuszna skinieniu ojca, udawszy się najprzód do swej komnaty, wróciła po chwili, obwinęta zasłoną z całą skromnością rzymskiej matrony.

— Czy siostra moja ślub jaki zawarła — rzekł Lucjusz — albo byłaby kapłanką Minerwy, Djany lub Westy?

— Nie, mój synu — odpowiedział starzec, biorąc Rzymianina za rękę i odprowadzając na stronę, — ale wiem o tem, że Korynt jest miastem kobiet, hołdujących miłości. Przez pamięć na to, że ich pośrednictwo ocaliło niegdyś gród ten od najazdu Kserksesa, kazaliśmy je malować, jak Ateńczycy wizerunki swych wodzów po bitwie maratońskiej; odtąd tak się obawiamy, aby nam na nich nie brakło, że zakupujemy je w Bizancjum, na wyspach Archipelagu, a nawet w Sycylii... Odnaczają się one odkrytą twarzą i łonem. Uspokój się, Aktea nie jest kapłanką Minerwy, Djany ani Westy; ale nie chce być poczytaną za czcicielkę Wenery.

Wznosząc głos potem, dodał:

— Idźcie, moje dzieci, a ty, córko, z wierchołka wzgórza wskaż naszemu gościowi wszystkie nasze stare pamiątki.



Lucjusz i Aktea udali się w drogę. Po kilku chwilach przebyli bramę północną i weszli na ścieżkę, wiodącą do cytadeli. Dwa razy zatrzymała się Aktea: raz aby ukazać Lucjuszowi groby dzieci Medei; drugi aby ukazać miejsce, w którym Bellerofon otrzymał z rąk Minerwy konia Pegaza. Nakoniec zbliżyli się do cytadeli. U wnińścia przytykającej do niej świątyni, Lucjusz poznał posąg Wenery, okryty świetną zbroją. Po prawej jego stronie znajdował się posąg Miłości, a po lewej Słońca, pierwszego z bóstw, które czczono w Koryncie. Lucjusz upadł na twarz i modlił się.

Po dopełnieniu tego pobożnego obowiązku, młoda para udała się ścieżką, przerzynającą święty gaj i wiodącą na wierzchołek pagórka.

Wieczór był pogodny, niebo czyste, a morze spokojne. Koryntjanka szła przodem, podobna do Wenery, wiodącej Eneasza drogą do Kartaginy. Lucjusz, idąc za nią, napawał się wonnościami, jakie wydawały sploty jej gęstych warkoczy. Ona co chwila obracała się, a że wyszedłszy z miasta, spuściła na ramiona zasłonę, Rzymianin pożerał płonącemi oczyma tę śliczną głowę, którą chód przyśpieszony okrasiał barwą nową. W miarę, jak wchodzili na górę, widnokrąg coraz bardziej się rozszerzał. Przybywszy nakoniec na szczyt pagórka, Aktea stanęła pod morwą i oparłszy się o nią dla odetchnienia, rzekła do Lucjusza:

— Jesteśmy na miejscu. Co mówisz o tym widoku? Czyż on nie dorównywa okolicom Neapolu?

Rzymianin milcząc zbliżył się do niej, oparł się ręką na gałęzi drzewa i zamiast przypatrywać się widokowi, wlepił w Akteę wzrok tak palający miłością, że dziewczyna, czując występujące na twarzy

swą rumieńce, śpiesznie mówić zaczęła, dla ukrycia swojego zmieszania:

— Patrz na wschód. Chociaż już mrok zapada, widać cytadelę ateńską, podobną do punktu białego i pagórek Sunium, odbijający się na wodnej fali, jak ostrze włóczni. Bliżej, wśród morza Saronickiego, widzisz wyspę, mającą kształt konskiej podkowy: to Salamina, pod którą walczył Eschilles i gdzie Kserkses został pobity. Ku południowi, w kierunku Koryntu, o dwieście stadjów od nas, możesz widzieć, Nemeę i las, gdzie Herkules zabił lwa, którego skórę nosił zawsze, jako godło zwycięstwa. Nieco dalej, u stóp łańcucha gór, ograniczającego widnokrąg, leży Epidaurus, ulubiony przez Eskulapa, a za nim Argos, ojczyzna króla królów. Na zachód, w złotej fali zachodzącego słońca, u krańca bogatych równin Sycjonu, za tą modrą linią morskiej przestrzeni, czy widzisz Samos i Itakę? A teraz odwróć się od Koryntu i patrz na północ: oto na prawo Cyteron, gdzie oślepiiony był Edyp; na lewo Leuktry, gdzie Epaminondas pobił Lacedemończyków; a przed nami Platea, gdzie Persowie zwyciężeni zostali przez Arystidesa i Pauzanjasza. Potem, w środku tego łańcucha gór, przebiegającego od Attyki do Etolii, Helikon, okryty sosnami, mirtami i laurami, i Parnas, z dwoma śnieżnymi szczytami, między którymi płynie źródło Kastalji, udarowane przez Muzy własnością napawania duchem poetycznym tych, którzy piją zeń wodę.

— Tak jest — rzecze Lucjusz — kraina twoja jest ziemią wielkich pamiątek. Na nieszczęście, nie wszystkie jej dzieci przechowują je ze czcią podobną twojej, młoda dziewico; ale pociesz się,

jeżeli Grecja nie jest już potężną, jest wszakże zawsze piękna, a piękno władniejsze jest od siły.

Aktea wzniosła rękę do zasłony, ale zatrzymał ją Lucjusz.

Koryntjanka zadrżała, lecz nie miała odwagi oprzeć się śmiałości młodzieńca: coś nakształt gęstego obłoku zasłoniło jej oczy, a czując zginające się pod sobą kolana, oparła się o pień morwy.

Była wówczas ta rozkoszna godzina, która nie jest dniem ani nocą; zmrok, powlekający wschodnią część widnokręgu, okrywał Archipelag i Attykę. Tymczasem ze strony przeciwnej, morze Jońskie, toczące ogniste fale i niebo, pełne złotych obłoków zdawało się być przedzielone jaskrawem, jak puklerz w ogniu rozczzerwieniony, słońcem, które już zaczynało gasić w wodach niższą część swej tarczy. Jeszcze jakby z uła dolatywał gwar miejski; wszystkie jednak głosy doliny i góry konały jeden po drugim; czasem tylko rozległ się w stronie Cyteronu przenikliwy śmiech pasterza, albo podnosił się od morza Saronickiego krzyk rybaka, wyciągającego na brzeg swą łódkę. Owa dy nocne zaczynały w trawie brzęczeć, a fosforyczne chrząszczyki, rozsypane tysiącami w ciepłym powietrzu wieczornem, jaśniały, jak iskry niewidocznego ogniska. Wszystko wskazywało, że natura, strudzona dzienną pracą, usypiała po woli i że całe życie umilknie za chwilę, szanując jej rozkoszny spoczynek.

Młoda para zachowywała głębokie milczenie pod wpływem tego uroczego wrażenia, gdy nagle ze strony portu Lechejskiego zabrzmiał ryk tak przerażający, że Aktea wzdrygnęła się z przestraschu. Rzymianin odwrócił głowę z żywością i skier

rował oczy ku swej biremmie, która zarysowywała się w zatoce naksztalt konchy złocistej. Młoda dziewczica, przejęta uczuciem mimowolnej bojaźni, pomknęła szybko ku drodze do miasta. Ale zatrzymał ją Lucjusz. Uległa milcząc i jakby zwyciężona wyższą potęgą, wsparła się znowu o drzewo, albo raczej o rękę, którą Lucjusz opasał jej kibić, a zwiesiwszy w tył głowę, wpatrywała się w niebo wpół otwartemi oczyma. Lucjusz pożerał ją palającym spojrzeniem, a chociaż czuła, jak ją obejmował jego wzrok palący, nie miała siły wydrzeć się pod władzy tego uroku. Powtórny ryk, bliższy i nierównie straszniejszy, przerwał słodką ciszę i obudził Akteę z rozmarzenia.

— Uciekajmy, Lucjusz! — zawołała z przestachem — uciekajmy! Jakieś dzikie zwierzę błąka się w górach... Przejdźmy tylko ten gaj święty, a staniemy w świątyni Wenery albo w cytadeli. Pójdź Lucjusz, pójdź.

Lucjusz uśmiechnął się.

— Czy Aktea może się czego obawiać będąc przy mnie — zapytał. Co do mnie czuję, że dla niej nie wahałbym się uderzyć na wszystkie potwory, które zwyciężył Tezeusz, Herkules i Kadmus.

— Lecz czy wiesz, co znaczą te ryki? — rzecze drżąca dziewczica.

— Wiem — odparł Lucjusz uśmiechając się — to ryk tygrysa.

— Jowiszu! — zawołała Aktea, rzucając się w objęcia Rzymianina — Jowiszu, ratuj nas!

Znów ryk, jeszcze bliższy i groźniejszy od pierwszych, zabrzmiał w przestrzeni. Lucjusz odpowiedział nań krzykiem prawie podobnym. W tejże chwili z gaju świętego wyskoczyła tygryś

sica i zatrzymała się, wspinając na tylnych łapach, rozglądając się i szukając czegoś. Lucjusz gwizdnał przenikliwie. Zwierzę rzuciło się, przesadzając krzewy mirtu i różowego lauru i skierowało się ku niemu z oznakami radości. Nagle Rzymianin uczył na swem ręku cały ciężar młodej Koryntjanki; omdlała z przestachu.

Gdy Aktea powróciła do przytomności, znalazła się w objęciach Lucjusza, a tygrysica, leżąc u nóg jego, wspierała pieszczotliwie na kolanach pana straszną swą głowę, której ślepie płonęły, jak rozżarzone węgle. Na ten widok młoda dziewczica ukryła twarz na piersi młodzieńca; z przestachu, czy też ze wstydu, sięgnęła ręką ku swej rozwiązanej przepasce, która o kilka kroków leżała na ziemi. Lucjusz spostrzegł ten ruch i odpinając opasujący szyję tygrysicy naszyjnik z czystego złota, przy którym wisiało jeszcze ogniwo zerwanego łańcucha, przepasał nim gibką kibić Aktei. Podjawszy potem przepaskę ze wstążki, którą rozwiązał ukradkiem, utwierdził jeden jej koniec u szyi zwierza, a drugi wplótł między drżące palce dziewczyny. Następnie milcząc udali się ku miastu. Aktea jedną ręką wspierała się na ramieniu Lucjusza, a drugą prowadziła uległą tygrysicę, która przed chwilą takiej trwogi ją nabawiła.

U wnijsia do miasta, spotkali nubijskiego niewolnika, któremu poruczoną była straż nad Febbe. Biegł on za nią przez pola i zgubił z oczu w chwili, gdy zwierzę, wpadłszy na ślad swego pana, biegło ku cytadeli. Postrzegłszy Lucjusza, ukląkł i spuścił głowę, oczekując kary, na którą przez swój niedozór zasłużył; ale Lucjusz zbyt był szczęśliwy w tej chwili, by się mógł okazać

okrutny: zresztą Aktea patrzała nań tak błagalnie.

— Powstań Libikusie — rzekł do niewolnika — ten raz ci przebaczam; ale nadal czuвай lepiej nad Febe. Tyś się stał przyczyną, że ta piękna Nimfa doznała śmiertelnej trwogi. Oddaj, moja Arjadno, tygrysicę stróżowi. Ja parę tych wspaniałych zwierząt zaprzęgę do wozu z kości słoniowej i złota, i każę cię wozić wśród ludu, który cię będzie czcił, jak boginię... Dosyć, Febe, dosyć. Idź sobie...

Ale tygrysica nie chciała odejść: stanęła przed Lucjuszem, wspięła się i opierając dwie przednie łapy na jego ramionach, lizała go swym ostrym językiem, mrużąc pieszczotliwie.

— Dobrze, dobrze — rzekł Lucjusz zcicha — tyś szlachetne zwierzę, i jak tylko wrócimy do Rzymu, dam ci do pożarcia piękną chrześcijankę z dwojgiem jej dzieci. Idź, Febe, idź!

Tygrysica była posłuszną jak gdyby pojmowała tę krwawą obietnicę i udała się za Libikusem; ale szła z wyraźną niechęcią i zwracała nieustannie głowę ku swemu panu; gdy ten jednak zniknął za bramą miasta z bladą i drżącą Akteą, pospieszyła bez oporu do klatki złoconej, którą zamieszkiwała na okręcie.

Lucjusz znalazł niewolnika kubikularnego w przysionku swego gospodarza: czekał on na niego, aby mu wskazać sypialnię. Młody Rzymianin ścisnął rękę Aktei i udał się za niewolnikiem, który niósł przed nim lampę. Co do pięknej Koryntjanki, ta według zwyczaju, poszła ucałować czoło ojca, który widząc ją tak bladą i wzruszoną, spytał, co tego było przyczyną.

Opowiedziała mu Aktea, jak przeraziła ją Fe-



be i jak to okropne zwierzę posłuszne było każdemu skinieniu Lucjusza.

Starzec zamyślił się i z obawą rozważał, kto jest ten człowiek, co igra z tygrysami, rozkazuje prokonsulowi i bluźni bogom?

Aktea zbliżyła zimne i blade usta do czoła ojca, ale zaledwie ośmieliła się dotknąć niemi białych włosów starca; udała się potem do sypialni, wciąż jeszcze rozmarzona, nie będąc pewna czy to, co zaszło, było snem, czy rzeczywistością. Następnie dotknęła obręczy złotej, która zastąpiła jej dziewczęcą przepaskę, a zbliżywszy ją do lampy, wyczytała wyryte na niej wyrazy, tak dobrze odpowiadające jej myślom;

„Należę do Lucjusza“.

### III

Przez całą noc palono ofiary. Świątynie przystrojono jak na największą uroczystość. Po ukończeniu świętych obrzędów, chociaż była dopiero pierwsza godzina po północy, już tłum rzucił się ku gimnazjum, tak spragniony igrzysk, przypominających piękne dni starej Grecji.

Amikles był jednym z ośmiu wybranych sędziów i w tym charakterze miał zachowane dla siebie miejsce naprzeciw siedzenia prokonsula rzymskiego. Nie spieszył się jednak; przyszedł wtenczas dopiero, gdy już dano znak do rozpoczęcia uroczystości. U wniścia znalazł Sporusa, który przychodził do swego pana, a któremu straż wzbraniała przystępu. Jego biała cera, delikatne ręce i wogóle wdzięk oraz subtelność jego postaci, podały go w podejrzenie, iż był przebraną ko-

biętą, a starożytne prawo, wskrzeszone obecnie, skazywało na zepchnięcie ze skały każdą kobietę, któraby się ośmieliła zakraść do gimnazjum, gdzie się odbywają zapasy nagich atletów. Staszec jednak zaręczył za Sporusa i dziecię mogło się połączyć ze swoim panem.

Gimnazjum podobne było do ula, cała przestrzeń gmachu napelniona była widzami. Murem głów zdawały się być zamknięte womitorja; sam szczyt zabudowania zalegał rząd cały widzów, którzy wzajemnie się wspierali, nie mając innej podpory, prócz stojących co dziesięć stóp słupów złożonych, na których rozwieszono *velarium*. A jednak dolatywał jeszcze głuchy szmer wielu nie dopuszczonych, tłoczących się u drzwi tego ogromnego gmachu, w którym znikła nie tylko ludność Koryntu, ale nadto urzędowi przedstawiciele wszystkich prowincyj Imperjum, przybyli na te igrzyska. Co do kobiet, ukazywały się one zdala od drzwi i na murach miasta, oczekując na ogłoszenie imienia zwycięzców.

Za zjawieniem się Amiklesa, liczba sędziów była już dopelnioną. Prokonsul tedy powstał i ogłosił w imieniu cezara Nerona, władcy Rzymu i pana świata, że igrzyska wnet się rozpoczną. Huczne okrzyki i oklaski odpowiedziały na te wyrazy i wszystkie oczy skierowały się ku portykowi, w którym oczekiwali zapaśnicy. Siedmiu młodych ludzi wyszło i postąpiło ku trybunie prokonsula. Dwaj tylko zapaśnicy byli z Koryntu, z pięciu zaś innych, jeden był Tebańczykiem, jeden Syrakuzaninem, jeden Sybarytą i dwóch Rzymian.

Dwaj Koryntjanie byli bliźniętami; postąpili naprzód, splótłszy się z sobą rękami, odziani w jednokie tuniki i tak do siebie podobni z po-



stawy i twarzy, że cały cyrk klasnął w ręce na widok tych dwóch Menechmów. Tebańczyk był młodym pasterzem; gdy razu pewnego pasł swe trzody przy górze Cyteron i spostrzegł schodzącego z niej niedźwiedzia, rzucił się nań bez żadnej broni, rozpoczął śmiało zapasy z tym groźnym przeciwnikiem, i udusił go w uściskach swych rąk żylastych. Na pamiątkę tego zwycięstwa wystąpił okryty skórą zduszonego zwierza, którego głowa służyła mu za hełm, a jej białe zęby opasywały ogorzałą twarz zapaśnika. Syrakuzanin złożył niemniej nadzwyczajne dowody swej siły. Gdy dnia pewnego współziomkowie jego składali Jowiszowi ofiary, byk, źle ugodzony przez ofiarnika, rzucił się w tłum ludu, cały przystrojony w kwiaty, i różnobarwne wstążeczki: już wielu ludzi stratował, gdy pochwycił go za rogi Syrakuzanin, obalił na bok i zatrzymał pod sobą, jak zwyciężonego atleteę, dopóki jeden żołnierz nie utopił mu miecza w piersiach. Młody Sybaryta długi czas nie znał swej siły; również przypadkiem ujawniła się ona. Leżąc raz z przyjaciółmi na jędnem z łóż purpurowych, otaczających stół wsparty na zastawiony, usłyszał nagle krzyki: wóz, uniesiony przez dwa konie ogniste, już miał się roztrzaskać u blizkiego rogu ulicy; w tym wozie była jego kochanka. Na ten widok, rzuca się przez okno, chwytając wóz z tyłu za koło; nagle zatrzymują się konie, wspinają się, jeden z nich pada na ziemię, a młodzieniec porywa w swe objęcia zemdloną, lecz ocaloną kochankę. Co do dwóch Rzymian, jeden z nich był atleteą z profesji, słynnym już z mnogich zwycięstw, a drugi znany nam Lucjusz.

Sędziowie włożyli siedm kostek do urny. Dwie z nich oznaczone były literą A, dwie literą B, dwie

literą C, ostatnia zaś literą D. Miał więc los utworzyć trzy pary i oznaczyć siódmego atletę do walczenia ze zwycięzcami. Prokonsul sam zmieszał kostki, potem zbliżyli się walczący, każdy z nich wziął jedną i złożył ją w ręce naczelnika igrzysk. Przypadek zrządził, że obaj Koryntjanie otrzymali A, Tebańczyk i Syrakuzanin B, Sybaryta i atleta C, a Lucjusz D.

Atleci nie wiedząc jeszcze, w jakim porządku los ich przeznaczył do walki, rozebrali się, oprócz jednego Lucjusza, który mając wejść w szranki ostatni, pozostał w swym płaszczu. Prokonsul wezwał dwa A. Wnet dwaj bracia rzucili się z porwy i znaleźli naprzeciw siebie; obaj wydali okrzyk zadziwienia, któremu odpowiedział szmer całego zgromadzenia. Czas jakiś stali w niepewnej i nieruchomej postawie; ale trwało to krótko i zaraz rzucili się sobie w objęcia. Cały amfiteatr wybuchnął jednomyślnym oklaskiem i przy odgłosie tego hołdu dla miłości braterskiej, dwaj piękni młodzieńcy, podobni do Kastora i Polluksa, opuścili szranki, z aktorów stając się prostymi widzami.

Znaleźli się więc pierwszymi ci, co mieli wystąpić w drugiej kolei. Tebańczyk i Syrakuzanin ukazali się w szrankach, zmierzyl się wzrokiem i rzucili się na siebie. Czas jakiś dwa splecione ciała podobne były do pnia niekształtnego, który potoczył się nagle na ziemię, jakby pociskiem gromu wyrwany z korzenia. Przez kilka sekund nie można było rozróżnić wśród wznoszącej się kurzawy, tak dalece jednakie z obu stron pasowały się siły i tak szybko każdy z atletów to był na spodzie, to znowu wydobywał się na wierzch; na koniec Tebańczyk zdołał utrzymać kolano na piersiach Syrakuzanina, a opasując mu szyję obu

poczem, cisnąc go czołem o czoło, zmusił do dotknięcia ziemi tyłem głowy, co, zdaniem sędziów, było pieczęcią zwycięstwa. Dały się słyszeć wielkie okrzyki i huczne oklaski; znaczna ich część jednak przypadła Sybarycie, jakkolwiek był zwyciężony. Przegrana jego bowiem tak bliska była zwycięstwa, że nikomu na myśl nie przyszło, aby go miała poniżać. Jakoż oddalił się pod portyk zwolna, z pewnością i bez zapłonienia; stracił tylko wieniec, ale nie stracił honoru.

Zostali dwaj zwycięzcy i Lucjusz, który walczyć miał z obydwoma. Wszystkie oczy skierowały się ku młodemu Rzymianinowi. Z wielkiem skupieniem przypatrywał się on zapasom, wsparty o kolumnę i obwinięty swym płaszczem. Wtenczas to zauważono jego miękkie i zniewieściale oblicze, jego długie jasne włosy i złotawą brodę, która mu zaledwie pokrywała dół twarzy. Każdy uśmiechnął się patrząc na tego słabego zapaśnika, który tak nierozważnie mierzyć się chciał z silnym Tebańczykiem i zręcznym atletą. Lucjusz odgadł to powszechne lekceważenie ze szmeru obiegującego całą publiczność, a nie zwracając żadnej na nie uwagi, postąpił kilka kroków i odrzucił płaszcz. Spostrzeżono wtenczas silną szyję, unoszącą tę apolińską głowę, potężne barki i skórę, której białłość zawstydziłaby najpiękniejszą czereśkieską dziewczę, skórę upstrzoną jednak w ciemne plamy, podobne do tych, jakie okrywają płowe futro pantery. Tebańczyk spojrział niedbale na nowego współzawodnika; ale atleta, widocznie zdziwiony, cofnął się o kilka kroków. W tej chwili ukazał się Sporus i wylał na plecy swojego pana flaszkę wonnej oliwy, którą rozprowadził po jego ciele za pomocą kawałka purpury.

Tebańczyk miał walczyć pierwszy; postąpił

więc ku Lucjuszowi, wyrażając swą niecierpliwość, że jego przygotowania trwały tak długo; ale Lucjusz wyciągnął rękę z miną rozkazującą, dając znak, iż jeszcze nie jest gotów, a prokonsul rzekł głośno:

— Zatrzymaj się.

Już jednak młody Rzymianin był namaszczony oliwą i zostawało mu tylko wytarzać się w piasku, jak to było zwyczajem; ale on przyklęknął na jedno kolano, a Sporus wypróżnił mu na plecy worek piasku, uzbieranego na brzegach Chrysorchoasu, wśród którego jaśniały tu i owdzie blaszki złota. Po dokonaniu tego ostatniego przygotowania, Lucjusz podniósł się i rozwarł obie ręce na znak, że już gotów.

Tebańczyk postąpił śmiało, a Lucjusz spokojnie czekał na niego; lecz zaledwie twarde ręce przeciwnika dotknęły jego ramion, oczy jego straszonym zapłonęły ogniem i wydał krzyk podobny do ryku. Jednocześnie przypadł na jedno kolano, a ujmując pasterza silnemi rękami między żebra i biodra, związał niejako swe dłonie na grzbiecie przeciwnika; przycisnąwszy potem do swych piersi jego brzuch, powstał nagle trzymając ów kolos w rękach. Zwrot ten był tak szybki i tak zręcznie wykonany, że Tebańczyk, nie mając czasu ani zdobyć się na obronę, uczuł się uniesionym nad ziemię; przenosząc głowę głowę współzawodnika i bił w powietrzu rękami, które nie znajdowały nic do ujęcia.

Ujrzeni wówczas Grecy wznowioną walkę Heraklesa z Anteuszem: Tebańczyk wsparł obie ręce na ramionach Lucjusza i cisnąć je całą siłą swych ramion, usiłował zerwać łańcuch straszliwy, który go dusił; ale bezskuteczne były jego usiłowania. Napróżno opasał także biodra przeciwnika dwo-

ma nogami, jakby węzem podwójnem: tym razem Laokoon zwyciężył plaza; im bardziej wzmagaly się usiłowania Tebańczyka, tem silniej Lucjusz ściszał więzy, któremi go skrępował i nieruchomy, z głową wspartą o piersi nieprzyjaciela, jakby przysłuchując się jego stłumionemu oddechowi, pozostał w tej postawie, aż wreszcie na Tebańczyku zaczęły występować znaki konania. Zrazu pot śmiertelny spływał mu z czoła na oblicze, zmywając kurz powlekający je; potem twarz okryła się purpurową barwą, zachrapały piersi, nogi odpasały się od ciała przeciwnika, odpadły wtył ręce i głowa; nakoniec potok krwi wytrysnął gwałtownie z ust i nosa. Wówczas Lucjusz rozluźnił ręce i zemdlony Tebańczyk upadł bezwładnie u nóg jego.

Żaden okrzyk radości, żaden poklask nie powitał tego zwycięstwa; tłum zdumiony, pozostał milczącym i nieruchomym. Nic wszakże nie było do zarzucenia: wszystko się odbyło podług zapaśniczych prawideł; żaden zdradliwy cios nie został zadany, Lucjusz szlachetnie zwyciężył przeciwnika. Chociaż jednak zajęcie widzów nie objawiało się przez okrzyki, niemniej atoli wszyscy byli do najwyższego stopnia rozciekawieni. Gdy więc niewolnicy wynieśli zemdlonego zapaśnika, wszystkie spojrzenia skierowały się ku atlecie, którego zręczność i siła, rozwinięte w poprzedniej potyczce, zapowiadały Lucjuszowi groźnego przeciwnika. Ale zawiedzione zostało powszechne oczekiwanie, bo w chwili, gdy Lucjusz sposobił się do drugiej walki, postąpił ku niema atleta z postawą pełną uszanowania i zginając kolano, podniósł rękę na znak, że się uznaje zwyciężonym. Zdawało się, że Lucjusz przyjmował ten hold i postępek bez żadnego zdziwienia; zamiast bowiem podać rękę

atlecie i podnieść go z ziemi, rzucił wokoło siebie spojrzenie, jakby pytał ów tłum zdziwiony, czy znajdzie się wśród niego kto tak zuchwały, iżby mu śmiał zaprzeczyć zwycięstwa. Ale nikt nie uczynił poruszenia, nikt słowa nie wyrzekł, więc wśród najgłębszego milczenia Lucjusz postąpił ku trybunie prokonsula, który podał mu wieniec. W tej chwili dało się słyszeć kilka oklasków, nie-  
trudną jednak rzeczą było odgadnąć, że te oznaki uznania dawali majtkowie okrętu, na którym przy-  
jechał Lucjusz.

A jednak ogarniające tłum uczucie nie miało nic nieprzyjaznego dla młodego Rzymianina: raczej jakby przesadna trwoga ogarnęła wszystkich. Ta siła nadludzka obok takiej młodości, przypominała cuda bohaterskich wieków. Imiona Tezeusza, Pirytyosa, były we wszystkich ustach, a chociaż nikt nie udzielił swej myśli drugiemu, każdy gotów był uwierzyć w obecność półboga.

Ten hołd publiczny, to przecuciowe uznanie dziwnej wyższości, to jakby uniżenie się niewolnika przed panem, otoczyło młodego Rzymianina nieziemskim prawie urokiem. Gdy więc wychodził z cyrku, wspierając się z jednej strony na ramieniu Amiklesa, a z drugiej ręką opasując szyję Sporusa, cała ta ciżba szła za nim aż do domu, skupiona, ciekawa, ale zarazem tak bojaźliwa i milcząca, że cały orszak zdawał się być raczej pogrzebowym, niż triumfalnym pochodem.

U bram miasta, młode dziewczęta i kobiety, które nie mogły uczestniczyć w widowisku, oczekiwały na zwycięzcę, trzymając w pogotowiu laurowe gałązki. Lucjusz szukał oczyma Aktei między jej towarzyszkami; ale czy to ze wstydu, czy też z obawy, nie ukazała się tutaj. Podwoił więc kroku, sądząc, że młoda Koryntjanka oczekiwała



na progu drzwi, które otworzyła dla niego poprzedniego dnia. Przebiegł plac, który w jej towarzystwie przebywał, zagłębił się w ulicę; ale żaden wieniec, żadne kwiaty nie zdobiły drzwi gościnnych. Lucjusz przeskoczył próg i wbiegł do *vistibulum*, zostawiając starca daleko poza sobą; próżne było *vestibulum*, lecz przez drzwi prowadzące na taras, spostrzegł młodą dziewczę na kolanach przed posągim Djany, bladą i nieruchomą, jak marmur, który obejmowała. Zbliżył się do niej na palcach i ozdobił jej głowę wieńcem zdobytym. Aktea z okrzykiem radości zwróciła się ku Lucjuszowi, którego oczy, rozjaśnione i dumne, oznajmiały wyraźniej jeszcze niż przyniesiony wieniec, że młody Rzymianin wydarł Grecji pierwszą z palm, po które przybył.

#### IV

Nazajutrz, od samego rana, cały Korynt zdawał się być obleczony w świąteczne szaty. Górnitwy wozowe, chociaż nie należały do najstarszych, były jednak najuroczystszymi; odbywały się one w obecności wizerunków boskich; posągi święte, zebrane na noc w znajdującej się u bramy Lechejskiej świątyni Jowisza, to jest w stronie wschodniej miasta, przebywać miały gród w całej długości, udając się do cyrku, wznoszącego się na przeciwnej pochyłości przy porcie Orissa.

Rano o godzinie dziesiątej, to jest o czwartej dnia podług podziału rzymskiego, orszak wyruszył w drogę. Prokonsul Lentulus jechał na wozie pierwszy w stroju uroczystym; za nim gromada

młodych ludzi od lat czternastu do piętnastu, ze stanu rycerskiego, na przepysznych koniach, przykrytych czaprami ze szkarłatu i złota; potem aktorowie igrzysk, a na ich czele, jako zwycięzca dnia poprzedniego, Lucjusz, w tunice zielonej, na wozie z kości słoniowej i złota, kierujący purpurowymi lejcami, wspaniałą czwórką białych rumaków. Głowę jego, na której daremnie upatrywano zdobytego wieńca w zapaśniczych igrzyskach, opasywało płomieniste koło, na wzór tego, jakim malarze zdobią czoło słońca; dla dopełnienia zaś podobieństwa z tym bogiem, brodę przysypaną miał proszkiem złotym. Za nim, na wozie szpizowym, zaprzężonym czterema czarnymi końmi, jechał młody Grek z Tesalji, dumny i piękny, jak Achilles. Z dwóch ostatnich, jeden był Ateńczykiem, mieniający się potomkiem Alcybiadesa, drugi, ogorzałym od słońca Syryjczykiem. Pierwszy, odziany w niebieską tunikę miał rozpuszczone na wiatr długie pukle czarnych włosów, namaszczone wonnościami; drugi nosił pewien rodzaj białej szaty, przewiązanej w połowie perskim pasem, i jak syn Izmaela, głowę opasaną miał białym, jak śniegi szczytów góry Synai, zawojem.

Szły potem, poprzedzając posągi bogów, gromady arfistów i flecistów, przestrojone za Satyrów i Sylenów, a z nimi połączeni byli niżsi kapłani dwunastu wielkich bogów, niosący naczynia i skrzynie pełne wonności, wraz ze złotem i srebrnymi kadzielnicami, z których unosiły się najdroższe aromaty; na koniec w zamkniętych lektykach postępowały, leżące, lub stojące boskie wizerunki, ciągnione przez wspaniałe rumaki pod strażą jeźdźców ze stanu rycerskiego i patrycjuszów. Orszak ten, mający przebyć całą szerokość miasta, szedł między dwoma rzędami domów stroj-



nych w obrazy, posągi, lub powleczonej kobiercami. Lucjusz, zbliżywszy się do drzwi Amiklesa, obrócił się, chcąc ujrzeć Akteę, i pod wzniesionym rogiem purpurowego, osłaniającego front domu kobierca, spostrzegł zaplonioną i nieśmiałą dziewczinę z wieńcem na głowie, który wczorajszego dnia z rąk jego otrzymała. Aktea szybko spuściła kobierzec, ale usłyszała przez zasłonę głos młodego Rzymianina, który mówił:

— Wyjdź na me spotkanie, gdy będę powracał, piękna Nimfo moja, a twój wieniec oliwny zamienię na złoty.

W połowie dnia, orszak stanął u wniścia do cyrku. Był to ogromny budynek, o dwóch tysiącach kroków długości i ośmset szerokości. Mur wysoki na sześć stóp przedzielał go w całej długości, z wyjątkiem obu końców, u których zostawione były przejścia na cztery wozy. Cały ten gmach zdobiły ołtarze, świątynie i podstawy, na których na tę tylko uroczystość miały być ustawione posągi bogów. Jeden róg cyrku zajmowały tak zwane *carceres* albo stajnie, drugi — ławy amfiteatr, a z każdej strony muru stały w kształcie trójkąta trzy parkany, które trzeba było siedmkroć okrążyć, aby odbyć bieg przepisany.

Woźnice, jak to już widzieliśmy, przywdziali kolory rozmaitych stronnictw, które wówczas dzieliły Rzym; a że wielkie zakłady zostały związane zawczasu, zakładnicy wystąpili w barwach tych *agitatorów*, którzy dobrą postawą, gatunkiem koni albo zwycięstwami, już odniesionemi, największą wzniesali ufność. Wszystkie więc prawie siedzenia cyrku były zajęte przez widzów, którzy ze zwykłym do tego rodzaju igrzysk zapalem, łączyli nadto interes własny z udziału w poczynio-

ných zakładach. Nawet kobiety dzieliły się na partje i odróżniały się kolorami pasków, odpowiedniami barwom czterech współzawodników. Gdy więc usłyszano zbliżanie się orszaku, szmer podobny do deszczu, przebiegł całe to morze ludzkie, którego głowy zdawały się być ożywionemi falami, a jak tylko drzwi zostały otwarte, niewielki przedział, dotąd niezajęty, przepelnił się wnet nowymi widzami. Lecz zaledwie czwarta część ciekawych znalazła miejsca; tłumy zaś, odegnane przez gwardję prokonsularną, rzuciły się na wszystkie wyniosłe miejsca, na wierzchołki drzew, szczyty wałów i dachy domów, najwięcej do gmachu zbliżonych.

Gdy już wszyscy usiedli, otwarto główne drzwi i ukazanie się Lentula zamieniło huczny gwar oczekiwania na głębokie milczenie ciekawości. Czy to z zaufania w zręczność Lucjusza, który dnia poprzedniego zwyciężył, czy przez pochlebstwo dla boskiego cezara, Klaudjusza Nerona, który protegował w Rzymie stronnictwo zielone i zaszczycał je własnem uczestnictwem, prokonsul, zamiast szaty purpurowej, miał na sobie tunikę tego koloru. Okrążył on zwolna cyrk, wiodąc za sobą wizerunki bogów, którym przygrywała muzyka do czasu, aż zostały złożone w *pulvinariach* lub ustawione na gotowych podstawach. Potem Lentulus dał znak, rzucając na środek cyrku pęk białej wełny. Wnet herold, siedzący naoklep na koniu i przebrany za Merkurego, wbiegł w szranki, w biegu porwał wełnę jednym ze skrzydeł kaduceusa i wstrząsając nią jakby sztandarem, obiegł galopem szranki wewnętrzne; gdy się zaś zbliżył do karceresów, rzucił wełnę przez mur, za którym oczekiwały zaprzęgi. Na ten znak otworzyły się

drzwi karceresów i ukazali się czterej współzawodnicy.

Imiona ich zostały wrzucone do koszyka, los bowiem miał oznaczyć porządek ustawienia się współzawodników, aby umieszczeni najdalej od środka toru, mogli tylko uskarżać się na przypadek, że im większe od innych koła przypadły w udziale do przebiegania. Kolej wyciąganych imion oznaczyć miała stanowisko każdego zapaśnika.

Prokonsul zmieszał imiona, spisane na zwitkach papyrusu i wyciągał jedne po drugich. Pierwszym był Syryjczyk w białym zawoju, który też zaraz stanął przy murze tak, aby oś jego była równoległa z linią, przeciągniętą kredą po piasku. Drugim był Ateńczyk w niebieskiej tunice; ten stanął przy pierwszym współzawodniku. Los uczynił trzecim Tesalijszyka w żółtem ubraniu. Ostatnim był Lucjusz, któremu los wskazał najniekorzystniejsze położenie, jakby urażony za pozyskaną w dniu wczorajszym palmę zwycięską. Dwaj ostatni ustawili się jednocześnie przy swoich przeciwnikach, poczem młodzi niewolnicy weszli między wozy, wpletli w grzywy koni wstęgi kolorów odpowiadających barwom odzieży ich panów, i podsycając zapal szlachetnych zwierząt, powiewali przed ich oczyma chorągwiemi jaskrawej barwy: inni zaś wyciągnawszy łańcuch, uwiązany u dwóch ogniw, ustawili wozy w równej linii.

Nastąpiła chwila zgiełkliwego oczekiwania; po-dwoiły się dawne, robiono nowe zakłady, gwar gorączkowych rozmów rozlegał się zewsząd. Nagle zabrzmiały trąby, wszystko w jednej chwili umilkło, widzowie stojący jeszcze usiedli i to morze ludzi, niedawno tak rozkołysane i burzliwe,

uspokoilo nagle swą powierzchnię, przybierając postać pstrej łąki, mieniającej się tysiącznemi barwami. Na ostatni dźwięk trąb, spadł łańcuch i cztery wozy ruszyły pełnym galopem.

W pierwszych dwóch okrążeniach przeciwnicy z niewielką różnicą zachowali swe stanowiska, jednak przymioty koni zaczynały się już zaznaczać w oczach widzów, znających się na rzeczy. Syryjczyk z trudnością hamował swe rumaki o silnych głowach i wysmukłych członkach, nasywykłe do gonitw w pustyni, których dzikość wytrwałością i sztuką potrafił ukrócić i nagiąć pod jarzmo; widocznem było, że gdyby tylko zostawił im całą swobodę, uniosłyby go z chyżością wichru równikowego, który nieraz prześcigały w piaszczystych dolinach, rozciągających się od gór Judy do brzegów jeziora Asfaltidy. Ateńczyk swoje konie miał z Tracji; lecz miękki i dumny jak bohater, którego się mienił potomkiem, ich wychowanie zostawił niewolnikom i dawało się czuć, że zaprząg jego ręką wiedziony i głosem nieznanym, źle go wesprze w stanowczej potrzebie. Tesalijczyk, przeciwnie, zdawał się duszą swych biegunów z Eulidy, które wykarmił własną ręką i ćwiczył stokroć w tych miejscach, gdzie Achilles ujeżdżał swoje, między Peneusem i Enipeem. Co do Lucjusza, ten bezwątpienia wynalazł ową rasę koni Selennutów, o których mówi Wirgiljusz, że ich klacze zostały zapłodnione przez wiatr, gdyż, chociaż miał najdłuższą drogę, bez żadnych wysiłków, bez naglenia lub hamowania, galopem, który był ich zwykłym chodem, nie tylko utrzymał swe stanowisko, lecz widocznie dużo zyskał.

W trzeciem okrążeniu przewaga ta zaczęła się wyraźniej zaznaczać: Ateńczyk zyskał na Tesalijczyku, który był najdalej ze wszystkich współza-

wodników, długość dwóch włóczni; Syryjczyk, hamując z całą mocą swe arabskie bieguny, pozwolił się prześcignąć pewny, że odzyska stracony dystans; nakoniec, Lucjusz, spokojny i cichy jak bóg, którego się zdał posągiem, przypatrywał się jakby obcym dla siebie wypadkom, tak dalece twarz jego była spokojna i uśmiechnięta, a postawa i ruchy zastosowane najściślej do prawideł wytworności mimicznej.

W czwartem okrążeniu przypadek odwrócił powszechną uwagę od trzech zapaśników i skierował ją wyłącznie na Lucjusza. Bicz jego, wyrobiony ze skóry nosorożca nabijanej złotem, wysłiznął mu się z ręki i upadł; Rzymianin spokojnie zatrzymał czwórkę, skoczył z wozu, podjął bat, który aż dotąd był niepotrzebnem narzędziem, a wracając na wóz, ujrzał się przynajmniej o trzydzieści kroków poza przeciwnikami. Jakkolwiek przerwa ta była krótka, jednak zdawało się, że to cios śmiertelny dla nadziei stronnictwa zielonego, ale obawa znikła szybko, gdy Lucjusz nachyliwszy się ku koniom, bez użycia bicia, gwizdnął tylko w szczególny sposób, a rumaki zerwały się, jakby miały skrzydła Pegaza i przed ukończeniem czwartego okrążenia, Lucjusz, wśród oklasków i krzyków, odzyskał stracony dystans.

W piątym okrążeniu, Ateńczyk nie władał już swemi końmi, które unosiły wóz z szybkością huraganu; daleko od siebie zostawił wszystkich współzawodników; ale ta mniemana przewaga nie omyliła nikogo, ani nawet jego samego. Jakoż obracał się co chwila z niepokojem i usiłując położyć swoje wykorzystać, zamiast hamować już utrudzone konie, podżegał je jeszcze potrójnym biczem, zachęcając każdego po imieniu: spodziewał się bowiem, że zanim się całkowicie wyczer-

pią ich siły, tak wielką potrafi ubiedz przestrzeń, że już go nie zdołają opóźnieni współzawodnicy prześcignąć. Tak zresztą pojmował brak swojej władzy nad zaprzęgiem, że chociażby mógł zbliżyć się do krawędzi i przez to zająć korzystniejsze stanowisko, nie usiłował tego uczynić z obawy, aby nie roztrzaskać wozu o parkan i pozostał w miejscu, które mu los na początku naznaczył.

Zostały jeszcze tylko dwa okrażenia i widać było z poruszeń widzów i zapaśników, że się już ma ku końcowi. Stronniectwo niebieskich, zwolennicy Ateńczyka, okazywali żywe niezadowolenie z jego chwilowego zwycięstwa i krzyczeli nań, aby hamował konie; lecz rumaki biorąc wrzawę za podżeganie, wzmagaly jeszcze szybkość i złane potem, ujawniały zupełne już prawie wyczerpanie sił.

W tej chwili Syryjczyk rozpuścił lejce swoich biegunów, które też szybko wysunęły się naprzód. Tesalijczyka zadziwiła ich chyżość, lecz przemówiwszy pieszczotliwie do swych wiernych towarzyszy, puścił się sam także jakby uniesiony wicherem. Co do Lucjusza, ten poprzestał na gwiźnięciu, którem już pierwiej zachęcał swe rumaki, a chociaż te jeszcze nie wyteżyły wszystkich swoich sił, łatwo utrzymał swe stanowisko.

Tymczasem Ateńczyk spostrzegł nadbiegających jak burza z dwóch stron swoich współzawodników i natychmiast zrozumiał, że będzie zgubiony, jeżeli zostawi między krawędzią a sobą przestrzeń jednego wozu. przytarł więc w czasie jeszcze do muru, aby przeszkodzić zajęciu tego stanowiska Syryjczykowi. Wówczas ten zwrócił swe konie na prawo, usiłując przejść między Ateńczykiem i Tesalijczykiem, ale przestrzeń by-



ła zbyt wąska. Rozpoznawszy szybkim rzutem oka, że wóz Tesalijczyka był lekki i mniej silny niż jego, skierował się ku niemu na ukos, a puszczając koło do koła, zgruchotał nim oś i wywrócił wóz z woźnicą na piasek.

Manewr ten, chociaż szybko powzięty i wykonany, na chwilę jednak opóźnił bieg Syryjczyka; odzyskał wszakże szybko stratę i Ateńczyk spostrzegł, że razem z nim rozpoczynają szóste okrążenie współzawodnicy, których miał tak długo za sobą. Przed końcem tego biegu, został przez nich dopędzony i prześcignięty. Ostatnia tedy walka toczyła się tylko między woźnicą białym i zielonym, to jest między Arabem i Rzymianinem.

Wówczas to rozwinał się widok prawdziwie wspaniały. Bieg tych ośmiu koni był tak szybki, że zdawało się, iż razem były zaprężone do jednego wozu: powlekał je wirujący obłok pyłu, wzbijanego kopułami z piaszczystego toru, a wśród tej chmury rozlegał się turkot wozów, podobny do groźnych pomruków huraganu. Cały cyrk stał na nogach, trzymający zakład, miotali na arenę zasłony i płaszcze zielone i białe: ci nawet, co byli za Tesalijczykiem i Ateńczykiem, zapominając o przegranej, pobudzali dwóch zapaśników oklaskami i krzykiem. Zdawało się naobiec, że Syryjczyk odnosi przewagę, gdyż konie jego wzięły o łeb rumaki przeciwnika. Ale Lucjusz, jakby tylko na ten znak oczekiwał, jednym pociągiem bicia nakreślił krwawą linię na grzbietach swej czwórki. Zarżały szlachetne zwierzęta z bólu i ostatniem wysileniem, puszczając się jak orły, jak strzały, jak gromy, prześcignęły zwyciężonego Syryjczyka i zostawiając go o pięćdziesiąt kroków



za sobą, stanęły u celu, przebywszy odległość wymagana, to jest obiegłszy siedm razy tor.

Rozległy się szalone krzyki. Ten młody Rzymianin, którego nikt nie znał, zwycięzca w zapasach wczorajszych, zwycięzca w gonitwach dzisiejszych, to Tezeusz, to Kastor, to Apollo może... W każdym jednak razie jest niewątpliwie ulubieńcem bogów. Tymczasem Lucjusz, jakby nasykły do triumfów podobnych, z lekkością wskazując z wozu na krawędź, wszedł na kilka stopni, wiodących do piedestału i na nim ukazał się widzom. Herold ogłasza jego imię i zwycięstwo, a prokonsul Lentulus schodzi z trybuny, podaje mu palmę idumeneńską, wieńczy skronie jego koroną z liści złotych i srebrnych, przeplatanych purpurowemi wstęgami. Co do nagrody w złotej monecie i w naczyniu miedzianem, Lucjusz oddał ją prokonsulowi, aby w jego imieniu rozdana była ubogim.

Potem skinął na Sporusa, który przybiegł trzymając w ręku gołębicę, wziętą z klatki Aktei.

Lucjusz przywiązał u szyi ptaka Wenery purpurową wstążkę, do której przytwierdzone były dwa liście złote z korony i puścił tego gońca zwycięstwa, który szybkim lotem skierował się ku domowi Amiklesa.

## V

Dwa zwycięstwa Lucjusza i towarzyszące im dziwne okoliczności, wywarły głębokie wrażenie na umysłach widzów. Grecja była niegdyś krainą ulubioną przez bogów. Apollo, wygnany z nieba,

został pasterzem i pisał trzody Admeta, króla Tesalii. Wenus, urodzona z piany morza i wzięta przez Trytony ku najlepszemu brzegowi, wylądowała w pobliżu Helos, a mając wybór miejsc dla swej czci, przeniosła Guidę, Pafos Idalię i Cyterę, nad wszystkie krainy świata. Na koniec Arkadyjczycy, wydzierając Kreteńczykom zaszczyt uważania się za współziomka króla bogów, na miejsce urodzenia przeznaczili mu górę Liktos, a choćby i fałszywem było to ostatnie twierdzenie, jest rzeczą pewną to, że gdy mu wybierać przyszło dziedzinę, postawił tron na szczycie Olimpu. Te pamiątki wieków bajecznych odświeżył Lucjusz w poetycznej wyobraźni ludu, któremu Rzymianie wydarli przyszłość, ale nie mogli ukraść mu przeszłości: wszyscy więc współzawodnicy do nagrody śpiewu cofnęli się, pomni na złą dolę tych, którzy z nim śmieli walczyć o palmę zapasów i gonitw. Przypomniano sobie los Marsjusza, który wyzwiał do walki Apollina i Lucjusz pozostał sam z pięciu już wpisanych na listę: mimo to jednak prokosul postanowił, że igrzyska mają się odbyć w oznaczonym dniu i godzinie.

Przedmiot obrany przez Lucjusza żywo obchodził Koryntjan: był tu poemat o Medei, przypisywany samemu cesarzowi Neronowi. Wiadomo, że ta czarodziejka, przyprowadzona do Koryntu przez Jazona, który ją uwiódł, i opuszczona w tem mieście, złożyła dwóch swoich synów na stopniach ołtarzy, powierzając ich straży bogów, sama zaś otrula swoją rywalkę tuniką, podobną do szaty Nessosa. Ale Koryntjanie, przerażeni zbrodnią matki, wydarli dzieci ze świątyni i ukamienowali. Nie uszło bezkarnie to świętokradztwo, bo bogo-

wie pomścili swój znieważony majestat, zsyłając zaraźliwą chorobę na wszystkie dzieci Koryntjan. Ponieważ jednak już więcej niż piętnaście wieków upłynęło od tej epoki, potomkowie morderców przeczyli zbrodni swych ojców. Ale uroczystość, ustanowiona corocznie w dniu morderstwa dwóch ofiar, zwyczaj ubierania dzieci w czarne szaty, były oczywistym dowodem, że straszliwa prawda wygórowała nad wszelkie jej zaprzeczenia; łatwo więc pojąć, jak podobny przedmiot musiał podżęgać ciekawość zgromadzenia.

Ponieważ wszyscy, pragnący usłyszeć poemat nie mogli się pomieścić w teatrze, który był dużo mniejszy od stadjonu i hippodromu, i wystarczał zaledwie na dwadzieścia tysięcy osób, rozdano najszlachetniejszym Koryntjanom i najznakomitszym cudzoziemcom małe tabliczki z kości słoniowej ze znakami, odpowiadającymi liczbom, wyrytym na siedzeniach. Służba, ustawiona we wszystkich punktach, miała obowiązek czuwać, aby nikt nie przywłaszczył sobie niewłaściwego miejsca, wszystko więc odbyło się w największym porządku.

Dla złagodzenia skwaru majowego słońca, teatr był osłonięty ogromnem *velarium*; była to niebieska zasłona z tkaniny jedwabnej, osypana złotymi gwiazdami, a w jej środku promieniste koło opasywało wizerunek Nerona w triumfalnych szatach, na wozie, ciągnionym przez cztery rumaki. I chociaż zasłona ta cień rzucała na wnętrze teatru, tak silny był upał, że młodzież trzymała w rękach duże wachlarze z piór pawich, chłodząc nieśmi damy, leżące raczej niż siedzące na purpurowych poduszkach i perskich kobiercach, rozesłanych przez niewolników na miejscach im prze-

znaczonych. Pomiedzy niemi byla Aktea, która nie śmiąc nosić jawnie wieńca ofiarowanego sobie przez zwycięzcę, miała utrefione włosy, a między niemi nieznacznie wplecione były dwa złote liście, przyniesione jej przez gołębicę. Zamiast orszaku dwornych młodzieńców, uwijających się około każdej z obecnych kobiet, całem jej towarzystwem był ojciec, którego twarz poważna, lecz zarazem uśmiechnięta pogodnie, dowodziła, jak sprzyjał triumfom swego gościa i jakiej doznawał z nich dumy. On to, ufny w pomyślność Lucjusza, nakłonił córkę do udania się na widowisko, pewny, że i tym razem będą świadkami zwycięstwa.

Godzina rozpoczęcia widowiska zbliżała się i zwiększało się zaciekawienie, gdy nagle zabrzmiał huk, jak uderzenie gromu i deszcz spadający na widzów, orzeźwił atmosferę wonną wilgocią. Wszyscy klasnęli w ręce, bo ten grzmot, sprawiony przez dwóch ludzi, którzy za sceną toczyli kamienie w miedzianem naczyniu, (wynalazek Klaudjusza Pulewta) zwiastował rozpoczęcie widowiska; ów deszcz, była to rosa z wonnej infuzji szafranu Cylicji, sztucznie wytryskująca ze zdobiących teatr posągów. Po chwili spada zasłona i ukazał się Lucjusz z lirą w rękę; po lewej jego stronie stał histrio Parys, mający wykonywać gesta, odpowiednie do słów pieśni, a po prawej chór, przed którym stał choregjust, flecista i mimikus.

Już z pierwszych tonów poznano, że był znakomitym śpiewakiem, gdyż nie zaczynając odrazu właściwej pieśni, poprzedził ją rodzajem gamy, obejmującej dwie oktawy i kwintę, to jest największą rozciągłość głosu ludzkiego, jaką słysza-

no od czasów Tymoteusza; po wykonaniu tego preludjum, z łatwością i wdziękiem zacząć śpiewać.

Były to, jakeśmy już powiedzieli, przygody Medei, kobiety zachwycających wdzięków, czarnoksiężnicy wtajemniczonej we wszelkie arkana magji. Jako mistrz w tworzeniu dzieł scenicznych, cesarz Klaudjusz Neron rozpoczął opowieść od chwili, gdy Jazon, na swym pięknym okręcie *Argo*, przybija do brzegów Kolchidy i spostrzega Medeę, córkę króla Ajeta, zbierającą kwiaty. Aktea na ten wstęp drgnęła. tak ona właśnie ujrzała Lucjusza; zbierała kwiaty, gdy złocista bieremma przybiła do brzegów Koryntu, a w zapustaniach Jazona i odpowiedziach Medei, poznała wyrazy, które przed kilku dniami zamieniła sama z młodym Rzymianinem.

W tej chwili, Sporus, korzystając z przerwy w chórze, zbliżył się z lirą, nastrojoną na trybjoński, to jest o jedenastu strunach. Był to instrument podobny do tego, na jakim Tymoteusz, w obec Lacedemończyków, wydawał dźwięki, uznane przez eforów za zniewieściale tak, że orzekli, iż śpiewak obraził majestat starożytnej muzyki i miał zamiar zepsucia młodych Spartańczyków; prawda, że Lacedemończycy wydali ten wyrok zaraz po bitwie Aegos Potamos, która ich uczyniła panami Aten.

Cztery wieki upłynęły od tego czasu; Sparta upadła, Ateny zostały miastem Rzymu, Grecja zniżyła się do rzędu prowincji. Spełniła się przepowiednia Eurypidesa i zamiast zrywania z liry czterech strun szkodzących moralności, widzowie przyklaskiwali Lucjuszowi z zapalem bliskim szaleństwa. Co do Aktei, ta słuchała bez technienia

i głosu, wiedziała bowiem, że to jej własne przysgody opiewał kochanek.

W samej rzeczy, jak Jazon, Lucjusz dwie już zdobył nagrody, a początek powodzenia wskazywał, że równie jak Jazon, zdobędzie trzecią; lecz dla malowania zwycięstwa nie tej potrzeba liry, na której opiewał miłość. Odtąd więc, jak Jazon, spotkawszy Medeę w świątyni Hekaty, otrzymał od swej pięknej kochanki pomoc jej czarodziejskiej sztuki i trzy talizmany, mające go wesprzeć w pokonaniu straszliwych przeszkód, niedopuszczających zdobycia runa, Lucjusz wziął lirę lidyjską, o dźwiękach poważnych, i przenikliwych i na niej opiewał jego zwycięstwo. Aktea, wzdrgnęła się całym ciałem, nie mogąc bowiem w myśli oddzielić Jazona od Lucjusza: idzie za bohaterem, namaszczonej sokami czarodziejskimi, które go bronią od ran, do pierwszej zagrody, gdzie występują przeciw niemu dwa byki kolosalnych rozmiarów, mające nogi i rogi miedziane, a ogniem zionące paszcze. Lecz ledwie dotknął ich czarodziejskim biczem, one spokojnie pozwalają się zaprząć do djamentowego pługa i bohaterski rolnik orze cztery morgi poświęcone Marsowi. Stamtąd idzie do drugiej zagrody, gdzie mu Aktea zawsze towarzyszy. Zaledwie wszedł do niej, gdy olbrzymi wąż wznosi swą głowę nad las drzew oliwnych i różowego lauru, który mu służy za schronienie i sycząc, zbliża się ku bohaterowi. Straszliwa rozpoczyna się walka. Ale Jazon nie może być ranionym — wąż kruszy swe zęby w bezskutecznych ukąszeniach, wysila się na próżno ściskaniem go swemi kręgami, gdy przeciwnie, każdy cios miecza Jazona głębokie zadaje mu rany. Rychło potwór się cofa, a Jazon naciera; płaz wsuwa



się w ciasną i ciemną jaskinię — Jazon czołgając się również, ściga go w tej kryjówce i powraca wkrótce trzymając w ręku łeb przeciwnika. Udaje się wówczas na pole, które przed chwilą zaorał i w głębokich bruzdach ziemi, narogiem pługa wyrytych, zasiewa zęby poczwary. Wnet z czardziejskich zagonów wyrasta wojownicze plemię mścicieli, którzy się na niego rzucają. Ale Jazon ciska między nich kamyk, który mu dała Medea i ludzie ci zwracają oręż na siebie, walczą i mordują się, on tymczasem wchodzi do trzeciej zagrody, wśród której wznosi się drzewo, mające pień srebrny, liście szmaragdowe, owoce rubinowe i gałęzie, na których wisi złote runo barana Fryksusa. Tu przebywa ostatni lecz najstraszliwszy i najniebezpieczniejszy z wrogów, których doś-  
tad pokonał Jazon: jest to smok-olbrzym, o skrzydłach niezmierzonych, okrytych łuską djamentową, która go czyni tak hartownym na rany, jak jest ten, co wchodzi w jego dziedzinę. Jazon przeciw temu ostatniemu nieprzyjacielowi odmiennej używa broni: kładzie na ziemię czarę złota, pełną mleka, z niej potwór wypija napój odurzający, który go w sen głęboki pogrąża i zuchwały syn Ezona porywa złote runo.

Teraz Lucjusz bierze znowu lirę jońską, bo na zwycięzcę oczekuje Medea. Jazon musi użyć całej potęgi miłości, aby skłonić kochankę do opuszczenia Ojczyzny, ojca i udania się z nim na wodną pielgrzymkę. Długa i bojesna toczy się walka, ale miłość zwycięża. Drżąca i wpół naga Medea opuszcza uśpionego ojca; zbliżywszy się jednak do drzwi pałacu, raz jeszcze chce ujrzeć tego, któremu dni życia winna. Powraca, drżącym krokiem, z przytłumionym oddechem wchodzi do



komnaty starca, przybliża się do łoża, zgina się nad jego czołem, wyciska pocałunek wiecznego pożegnania na jego białych włosach, wydaje okrzyk łkający, który starzec bierze za głos sennej mary i wraca w objęcia kochanka, oczekującego na nią w porcie. Ten porywa ją zemdloną na ręce i unosi na ów cudowny okręt, zbudowany przez Minerwę na jolchoskich warsztatach, przed którego sterem ustępują posłuszne bałwany; gdy Medea przychodzi do siebie, ojczyście wybrzeża już znikają w oddali — opuszcza Azję dla Europy, ojca dla małżonka, przeszłość dla przyszłości.

Te ustępy poematu odśpiewane zostały z takim ogniem i namiętnością, że wszystkie kobiety zostały do łez wzruszone; Aktea nadewszystko, jak Medea pałająca miłością, z przysłoniętą żrenicą, z piersią bez tchu i głosu, w opowieści kochanka widzi obraz własnego życia, którego przeszłość i przyszłość czarodziejska sztuka przedstawiła jej niby w zwierciadle. W chwili więc, gdy Medea zbliża usta do białych włosów Ajeta i z serca przejętego rozpaczą wydaje ostatnie łkanie kochającej miłości córki, Aktea zbliża się do Amiklesa i ze wzruszeniem opiera głowę na ramieniu starca. Co do Lucjusza, triumf jego był zupełny. W pierwszej przerwie obsypano go gradem oklasków; teraz są to pełne uniesienia okrzyki, konwulsyjne drgania szaleństwa i on sam tylko mógł nakazać milczenie wrzawie obudzonego zapалу, rozpoczynając trzecią część swego dramatu.

Znowu odmienił lirę, gdyż teraz będzie opiewał nie dziewczyną i rozkoszną miłość, nie triumf kochanka i wojownika, ale niewdzięczność mężczyzny i niepohamowaną zazdrość kobiety; ma

przedstawić miłość namiętną, obłąkaną, szaloną; miłość mściwą, morderczą, a tylko tryb dorycki może odtworzyć tyle cierpień, tyle boleści.

Medea płynie na czarodziejskim okręcie, przybija do Tracji, zatrzymuje się w Jolchos dla uiszczenia się z długu synowskiego ojcu Jazona, którego odmladza; potem zawija do Koryntu, gdzie ją opuszcza kochanek dla zaślubienia Kreuzy, córki króla Epiru. Wówczas to zdradzoną kochankę opanowuje zazdrość. Napawa szatę żrącą trucizną i posyła rywalce, która ją przyobleka z ufnością i wnet kona w najstraszniejszych męczarniach w oczach przewrotnego Jazona; aby zaś matka nie zachowała wspomnień kochanki, mściwa Medea zabija dwóch swoich synów i ulatuje na wozie, ciągnionym przez smoki skrzydlate.

W tem miejscu poematu, pochlebiającem dumie Koryntjan, przez obarczenie samej matki, za przykładem Eurypidesa, zarzutem morderstwa dzieci, oklaski ustąpiły miejsca krzykom uniesień, wśród których przebijał trzask kastanietów, wyrażających najwyższy stopień zapалу. A po skończeniu popisu, śpiewak nie tylko otrzymał wieniec oliwny, przygotowany przez prokonsula dla zwycięzcy, ale nadto grad kwiatów i girland, które kobiety zrywały z głów i miotały na scenę.

Przez chwilę się zdawało, że Lucjusz padnie pod ciężarem wieńców, jak Terpeja pod sabińskimi puklerzami. Ale on nawet uwagi nie zwracał na ten niezwykły triumf, natomiast szukał wszędzie oczyma tej, której jeden znak więcej miał dlań znaczenia, niż wrzaskliwe zachwyty tłumu całego. Nakoniec spostrzegł ją w objęciach starca, upojoną szczęściem. Rzucił na nią tak czule spojrzenie, przybrał tak błagającą postawę, że Aktea

unosła rękę do wieńca, odwiązała go od czoła, lecz nie mając sił do rzucenia go kochankowi, upuściła przy swych nogach i łkając, padła na piersi ojca.

Zazajutrz, o świcie, złocista biremma unosiła się na falach Korynckiej odnogi, lekka i czarowna jak statek *Argo*; unosiła ona drugą Medeę, nie wierną krajowi i ojcu: na przodzie statku, blada, drżąca Aktea, stojąc przy Lucjuszu, przypatrywała się znikającemu w oddali pasmu gór Cyteron, o które opiera się Korynt. Z nieruchomą żrewnicą, z wpółotwartymi usty stała, dopóki tylko widzieć mogła miasto, wieńczące pagórek i cytadelę, panującą nad niem. Gdy zaś miasto rozpłyneło się w modrym obłoku, gdy cytadela również się rozwiała w majaczące ledwo zarysy, i te następnie zanurzyły się w morzu, z piersi jej wyszło westchnienie, wydarł się jęk żałosny i dziewczę padło w objęcia Lucjusza.

## VI

Wróciwszy do przytomności, Aktea znalazła się w głównej kajucie okrętu. Lucjusz siedział przy łożu, na które ją podczas omdlenia przeniesiono, podtrzymując jej głowę, a w kącie, na purpurowym, złotem przetykanym kobiercu, spała w krąg zwinięta tygrysica. Była już noc; przez otwór sufitu ukazywał się wspaniały błękit nieba Jonji, osypany gwiazdami. Tak lekko unosiła biremna, że zdała się ogromną kolebką, którą usłuszne morze bujało, jakby łożę dziecięcia; cała zresztą uśpiona natura tak była powabna i urocza,

że świeże wypadki poczytała Aktea za senne marzenia i mniemała, że jeszcze spoczywa pod dziecką zasłoną młodych swoich lat. Ale Lucjusz, bacznym na jej każde skinienie, spostrzegłszy, że się obudziła, klasnął w dłonie i wnet ukazała się młoda niewolnica, trzymając w ręku laskę płonącego wosku, którą zapaliła złotą lampę, zawieszoną na stojącym u nóg łóżnicy kandelabrze ze spiżu.

Aktea patrzyła na nią ze zdziwieniem, gdyż niewolnica, którą po raz pierwszy widziała, nie była jej nieznaną; rysy tej twarzy bardzo świeże przywoływały wspomnienia, a jednak nie mogła przypomnieć sobie imienia tego młodego i melancholijnego oblicza. Tyle sprzecznych myśli stłoczyć się w głowie biednego dziecka, że nie mogąc znieść ich ciężaru, zamknęła oczy i wsparła znowu głowę o poduszkę. Lucjusz, myśląc, że chce spać skinął na niewolnicę, aby nad nią czuwała i wyszedł z komnaty.

Niewolnica, zostawszy z Akteą, przypatrywała się jej pewien czas z wyrazem nieokreślonego smętku; potem ułożywszy się na purpurowym kobiercu, na którym chrapała Febe, wsparła głowę na grzbiecie tygrysicy, która przebudzona znieśnacka, otworzyła w połowie oko zaiskrzone i dziwkie, ale poznawszy przyjaciółkę, zamiast ukarać ją za taką zuchwałość, dotknęła parę razy delikatnej jej ręki końcem krwistego języka i znowu wyciągnęła się niedbale, wydając mruczenia podobne do ryku.

W tej chwili czarujący śpiew rozległ się w górnej części okrętu; był to ten sam chór, który słyszała Aktea, w chwili gdy biremna przybijała do portu Koryntu. Lecz w tej chwili samotność i ciemna nocna nadawały mu jeszcze więcej wdzięku

i tajemniczości. Wkrótce nowy głos połączył się z innemi. Lucjusz śpiewał modlitwę do Neptuna. Aktea odrazu poznała te dźwięki, które wczoraj wprawiły w drżenie najskrytsze struny jej duszy: były to tony tak dźwięczne i melodyjne, jak gdyby Syreny Polimoskiego przylądku witały okręt nowego Ulissesa.

Aktea, cała pod wpływem tej uroczej muzyki, otworzyła znużone powieki i z okiem wlepionem w gwiaździste niebo, rychło zapomniała o swych zgryzotach i boleści, oddając się cała rozkoszным marzeniom. Już dawno ostatnie dźwięki liry i ostatnie nuty pieśni rozplynęły się w przestrzeni, jakby uniesione na skrzydłach czarodziejskich, a ona jeszcze słuchała w słodkiem odrętwieniu; ocknęła się наконец i po raz drugi spotkała się z wejrzeniem młodej dziewczyny. Niewolnica zdawała się również zostawać pod czarem pieśni i Aktea mogła znów zauważyć, że to smętne oko zwracało na nią jasne spojrzenie nie po raz pierwszy. Aktea skinęła ręką. Niewolnica powstała: obie pewien czas milczały; наконец Greczynka zapytała:

— Jak się nazywasz?

— Sabina — odparła niewolnica.

Aktea drgnęła, gdyż jak twarz, tak i głos nie był jej obcy; wymienione jednak imię żadnego w niej wspomnienia nie obudziło.

— Gdzie twa ojczyzna ... — zapytała znowu Aktea.

— Opuściłam ją tak młodo, że nie pamiętam jej.

— Do kogo należysz?

— Wczoraj należałam do Lucjusza, dziś do Aktei.

— Czy dawno on jest twym panem?

- Odkąd siebie poznałam.
- Jesteś więc zapewne przywiązana do niego?
- Jak córka do ojca.
- Zbliź się więc do mnie — chcę mówić o nim.

Sabina posłuchała z widocznym wstrętem. Aktea, biorąc to za uczucie bojaźni, wzięła ją do brotliwie za rękę: była zimna, jak marmur; po chwili posłuszna naleganiom swej pani, usiadła przy jej łożu.

— Czy nie widziałam cię przedtem? — dopytywała się Aktea.

— Nie sądzę — odrzekła z przymusem niewolnica.

— W stadjonie, w cyrku, w teatrze?

— Na krok nie opuszczałam biremmy.

— Nie byłaś więc obecna przy triumfach Lucjusza?

— Jestem do nich przyzwyczajona.

Znów nastąpiło milczenie po tych zapytaniach i odpowiedziach, zamienianych z jednej strony ze wzrastającą ciekawością, z drugiej z wyraźną niechęcią. To ostatnie uczucie było tak widoczne, że nie mogło ujść uwagi Aktei.

— Słuchaj, Sabino — rzekła Koryntjanka — widz, jak wiele cię kosztuje strata dawnego pana: powiem zatem Lucjuszowi, że go nie chcesz opuścić.

— Nie czyn tego — zawołała ze drżeniem niewolnica — gdy Lucjusz rozkazuje, trzeba mu być posłuszną.

— Więc jest tak straszny gdy się gniewa? — spytała Aktea z uśmiechem.

— Okropny! odparła niewolnica z takim wyrazem trwogi, że Aktea zadrżała mimowolnie.



— A jednak zdają się go kochać ci, co go otaczają: ten młody Sporus...

— Sporus! — powtórzyła głucho niewolnica.

Aktea nagle zamilkła; wyjaśniły się jej wspomnienia: Sabina była podobna do Sporusa, a to podobieństwo było tak wielkie, że zdziwiła się, iż odrazu tego nie spostrzegła. Ujęła dziewczynę za obie ręce i wpatrując się w nią przenikliwie, zapytała:

— Czy znasz Sporusa?

— To mój brat — wyszeptała.

— Gdzież on jest?

— Został w Koryncie.

W tej chwili drzwi się otworzyły: wszedł młody Rzymianin; Aktea zaś, trzymająca jeszcze obie ręce Sabiny, uczuła dreszcz, przebiegający nerwy niewolnicy. Lucjusz obrzucił badawczym, dziwnie przybijającym wzrokiem obie dziewczyny i po chwili milczenia zapytał:

— Czy moja piękna nie zechce skorzystać z ukazania się Jutrzenki i odetchnąć świeżem powietrzem poranku?

W brzmieniu tego głosu, tak spokojnego i łagodnego napozór, było jednak coś rozkazującego i jakby szarpiącego. Aktea zauważyła to teraz dopiero i jednocześnie ogarnęło ją takie uczucie trwogi, że pytanie wzięła za rozkaz. Ale siły jej nie dopisały i byłaby upadła, gdyby Lucjusz skwapliwie jej nie wsparł. Uczuła się uniesiona na rękach kochanka, jak gołębica w szponach orła; cała drżąc, nie pojmując pobudek przestrochu, oniemiała, z zawartemi oczyma, pozwoliła nieść się z takim uczuciem, jakby miała być wrzucona do przepaści.

Na pokładzie statku, pod wpływem jędrnych powiewów morskich, ocknęła się z dziwnego wra-



żenia. Chociaż oczy miała jeszcze zamknięte, czuła jednak, że już nic znajduje się w objęciach Lucjusza. Jakoż podniósłszy powieki, przekonała się, że leżała w złocistej siatce, jednym końcem przytwierdzonej do masztu, drugim do malej rzeźbionej kolumny. Lucjusz, wsparty o maszt, stał przy niej.

W nocy, okręt, gnany przychylnym wiatrem, wypłynął z zatoki Korynckiej i okrążywszy przylądek Elis, wślizgnął się między Zacyrty i Cefalonię: słońce ukazało się z poza tych dwóch wysp, a pierwsze jego promienie oświeciły szczyty gór, przedzielających je na dwie części, chociaż krańce zachodu tonęły jeszcze w cieniu. Aktea, zwracając się do Lucjusza, spytała:

— Czy to jeszcze Grecja?

— Tak — odparł Lucjusz — a te wonie, dołatujące do nas, jakby ostatnie pożegnanie, wydają Samy i drzewa pomarańczowe Zacyrty. Niema zimy dla tych dwóch sióstr rodzonych, rozwijających się pod słońcem, jak dwie lilje. Czy chcesz o piękna, bym na tych wyspach kazał zbudować pałace?

— Lucjusz — rzecze Aktea — przestraszasz mię niekiedy temi obietnicami, jakich bóg sam zdołałby zaledwie dotrzymać. Kto jesteś i co przede mną skrywasz? Czyliżes Jowiszem piorunującym i czy się boisz, że ukazawszy się w całym blasku, zabijesz mię swemi gromy, jak drugą Semelę?

— Mylisz się — odparł Lucjusz z uśmiechem — jestem tylko biednym śpiewakiem, któremu stryj zostawił cały majątek, pod warunkiem, że się jego imieniem nazywać będę; cała moja potęga jest w mej miłości, Akteo, ale czuję, że dziś podołałbym dwunastu pracom Herkulesa.

— Kochasz mię więc?

— Tak jest, duszo moja!

Wymówił te słowa z tak silnym akcentem prawdy, że Aktea wzniosła obie ręce ku niebu, jakby dziękując za swe szczęście. W tej chwili zapomniała o wszystkim: żale i zgryzoty znikły z jej duszy, jak z oczu Hellada, ginąca w widno-kregu...

Płynęli tak sześć dni, pod błękitnem niebem, po błękitnem morzu; siódmego spostrzeżono Le-kry miasto, zbudowane przez żołnierzy Ajaksa. Okrążywszy przylądek Herkulesa, wpłynęli do cieśniny Sycylijskiej, zostawiając na lewo Mes-synę, starożytną Zankłę o porcie zakrzywionym, jak kosa, a na prawo Rhegium, od którego Dioniz-zos zażądał żony, a ono mu ofiarowało córkę ka-ta; potem, żeglując prosto między wrzącą Cha-rybdą i szczekającą Scyllą, rzucili ostatnie poże-gnanie śalom jońskim i weszli na morze Tyrreńskie. Pięć dni jeszcze płynęli to o żaglach, to o wiosłach, mijając Helkę, przy której ukazały się zwaliska grobu Palinura, Paestum o trzech świątyniach, Kaprea z dwunastu pałacami. Nakoniec zawinęli do przepięknej odnogi, w głębi której widać Neapolis, tę uroczą córkę Grecji, niewolnicę, wyzwoloną przez Rzym, spoczywającą niedbale u stóp dymiącego Wezuwiusza. Z prawej strony wznosi się Herkulanum, Pompea i Stabia, które w dwadzieścia lat potem, znikną w gro-bach z lawy; po lewej zaś Puteoli z mostem ol-brzymim. Faja, której tak się obawiał Proper-cjusz i Baula, mająca wsławić się rychło matką-bójstwem Nerona.

Gdy Lucjusz zobaczył miasto, kazał wnet zmie-nić białe żagle biremmy na purpurowe i ozdobić maszt gałęzią laurową. Musiał to być zawczasu

znak umówiony zwycięstwa; skoro go tylko bowiem spostrzeżono, zaraz ruch wielki powstał u brzegów i lud rzucił się ku okrętowi olimpijskiemu, który wszedł do rejdy przy dźwięku instrumentów, przy śpiewach majtków, wśród oklasków tłumu. Wóz, zaprzężony czwórką białych koni, czekał na zwycięzcę. Wsiadł, odziany w purpurę, przysłoniętą niebieską chlamidą w złote gwiazdy, z głową przystrojoną olimpijskim wieńcem z liści oliwnych, dzierżąc w ręku pityjski laurowy. Wybito wyłom w murach i przezeń wjechał triumfator do miasta.

Przez całą drogę spotykały go zaszczyty i uroczystości. W Fondei starzec sześćdziesięcioletni, którego ród starożytnością, równy był Rzymowi i który po wojnie afrykańskiej, otrzymał awację i trzy kapłaństwa, przygotował wspańnięte uroczystości, i nawet sam wyszedł naprzeciw zwycięzcy, aby go na nie zaprosić. Krok ten ze strony człowieka tak znakomitego, uczynił wielkie wrażenie w orszaku Lucjusza, który rósł z każdą chwilą. Dziwne albowiem rzeczy opowiadało o tym starcu. Gdy jeden z jego przodków odbywał ofiarę, orzeł rzucił się na zabite zwierzę, porwał jego wnętrzności i uniósł na dąb. Przepowiedziano mu wtenczas, że któryś z jego potomków będzie panem Rzymu, a tym potomkiem, jak mówiono, był właśnie ów starzec, noszący imię Galba. Razu pewnego przybył on z gronem rówieśników swoich powitać Oktawjusza, August zaś, natchniony wtedy jasnowidzeniem, musnął go lekko ręką po twarzy, mówiąc:

— I ty także, moje dziecię, doświadczysz słodczy potęgi.

Liwja tak go kochała, że zostawiła mu umierając pięćdziesiąt milionów sestercyj; lecz ponie-

waż suma ta była tylko wyszczególniona w zapisie, zredukował ją Tyberjusz do pięciuset tysięcy i być może, iż nie ograniczyłaby się na tem niewiść starego cezara, któremu znana była przepowiednia wyroczni, gdyby go nie uspokoił jego astrolog Tryzalles, zapewnieniem, że Galba panować będzie w sędziwej starości.

— Niech więc żyje! — rzekł Tyberjusz — gdyż czas tak odległy jeszcze mię nie obchodzi.

Jakoż umarł Tyberjusz; z kolei władali Rzymem Kaligula i Klaudjusz; Neron był cezarem. Galba miał lat sześćdziesiąt pięć i nic nie wskazywało, aby był bliskim władzy najwyższej. Ponieważ jednak następcy Tyberjusza, bliżsi byli chwili ziszczenia się wyroczni, Galba miał zawsze, nawet gdy spał, sztylet, zawieszony na łańcuchu u szyi i nie wychodził nigdy bez miliona sestercyj w złocie na wypadek, gdyby był zmuszony uciekać przed liktorami, lub przekupić zabójców.

Zwycięzca dwa dni przebył u Galby, wśród igrzysk i triumfów; tam to Aktea była świadkiem ostrożności, jakich dotąd Lucjusz nie przedsiębrał, a których znaczenia i celu nie umiała sobie wytłumaczyć. Żołnierze z jego eskorty czuwali noc całą w pokojach, otaczających jego komnatę; widziała też, że jej kochanek, idąc spać, kładł miecz pod poduszkę swego posłania. Nie śmiała go wypytywać; przeczuwając jednak, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, każdego ranka nagliła go, by odjechał; nakoniec trzeciego dnia opuścili Fondi i odbywając dalej triumfalną drogę do miasta, które przebywali wyłomami w murach, zbliżyli się nakoniec do góry Albano z orszakiem podobniejszym do wojska satrapy, niż do świty prostego zwycięzcy. Gdy stanęli na szczycie tej góry, Aktea wydała okrzyk zachwytu; u krańca

drogi Appijskiej spostrzegła Rzym w całym ogro-  
mie i blasku!

Bo też istotnie Rzym ukazał się oczom młodej Greczynki w najwspanialszym widoku. Droga Appijska zwana była królową dróg, jako najważniejsza i najpiękniejsza ze wszystkich; wychodząc bowiem od morza Tyrreńskiego, szła przez Apeniny i Kalabrię i dosięgała morza Adrjatyckiego. Na przestrzeni od Albano do Rzymu, służyła dla przechadzek publicznych, a według zwyczaju starożytnych, którzy w śmierci widząc tylko spoczynek, wybierali na swe grobowce miejsca najpowabniejsze i najczęściej uczęszczane, po obu stronach była ozdobiona wspaniałemi grobami, między któremi słynął starożytnością grobowiec Askaniusza, bohaterskiem wspomnieniem Horacjuszów, a cesarskim przepychem Cecylji Metelli.

Owoż w dniu tym, cała ta przepyszna droga zatłoczona była ciekawymi, śpieszącymi na spotkanie Lucjusza. Jedni jechali świetnymi powozami, ciągnionemi przez hiszpańskie muły w purpurowych zaprzęgach; inni w lektykach, niesionych przez ośmiu niewolników, mających na sobie wspaniałe *penulae* i poprzedzanych przez laurfrów w podkasanych szatach; przed jednymi biegli jeźdźcy numidyjscy, wznosząc kurzawę i rozpychając tłoczącą się ciżbę, — innych wyprzedzały psy moloskie, strojne w naszyjniki nabijane srebrnemi ćwiekami.

Jak tylko pierwsi z nadchodzących ujrzeli zwycięzcę, okrzyki ich, podawane z ust do ust, zaleciały do murów miasta. Wnet na rozkaz jeźdźcy, pędzącego galopem, tłumy uszykowały się po obu stronach drogi, która mając trzydzieści sześć stóp

szerokości, dość miała miejsca dla wozu triumfalnego, zmierzającego ku miastu. O pół mil. od bramy, legjon jazdy z pięciuset ludzi oczekiwał na orszak i stanął na jego czele. Aktea spostrzegła, że konie podkute były srebrnymi podkowami, które odpadały co chwila tak, iż lud rzucał się pod nogi rumaków i zbierał je, narażając się na stratowanie.

Zwycięski wóz wtoczył się nakoniec do miasta wśród szalonych okrzyków pospólstwa. Aktea nie pojmując tego uniesienia, mimowolnie dzieliła je sama. Wszędzie do imienia Lucjusza dodawano tytuł cezara. Wszędzie przejeżdżała pod łukami triumfalnymi, przez ulice osypane kwieciami i pełne dymu kadzideł przy każdym załomie ulic ofiarnicy zabijali ofiary na ołtarzach domowych bogów Ojczyzny. Przebywała najwspanialsze ulice i place; wielki cyrk, *Velabrium* i *Forum*; nakoniec wielki orszak wkroczył na drogę Świętą, zaczął przebywać Kapitol i zatrzymał się dopiero przed świątynią Jowisza.

Tu Lucjusz zsiadł z wozu i wszedł na schody, wiodące do świątyni. Flaminowie oczekiwali go u drzwi i towarzyszyli mu do podnóża posągu. Tam złożywszy trofea swego zwycięstwa na kolumnach Jowisza i wzięwszy styl do ręki, wyrył na złotej tablicy, którą mu podał wielki kapłan, napis tego brzmienia:

*Lucjusz-Domicjusz-Klaudjusz Neron, zwycięzca w zapasach, gonitwach i śpiewie, poświęcił te trzy korony Jowiszowi, najlepszemu i największemu z bogów.*

Wśród okrzyków triumfu, wznoszonych ze wszystkich stron, jeden tylko się rozległ krzyk trwogi: Aktea dowiedziała się teraz, że ów biedny rze-



komy śpiewak, któremu towarzyszyła jako kochankowi, był Divinus Caesar.

## VII

Wśród upojenia i triumfu, cesarz nie zapomniał o Aktei. Młoda Greczynka nie ochłonęła jeszcze z zadziwienia i strachu, gdy zbliżyli się do niej dwaj niewolnicy liburnijscy i wezwali ją z uszanowaniem, w imieniu Nerona, aby się udała za nimi. Usłuchała ich machinalnie, nie wiedząc gdzie ją prowadzą, nie myśląc nawet o to się spytać, tak dalece przerażała ją myśl okropna, że była kochanką człowieka, którego samo imię dotąd przejmowało ją trwogą.

U wejścia na Kapitol, między Tabularjum i świątynią Zgody, spostrzegła wspaniałą lektykę, umieszczoną na barkach sześciu niewolników egipskich, mających na piersiach srebrne blachy w kształcie nowiu, a na nogach i rękach pierścienie z tego kruszcu; przy lektyce siedziała Sabina, którą Aktea straciła z oczu wśród wrzawy triumfu i którą znajdowała właśnie jakby dla uzupełnienia swych wspomnień. Wsiadła do lektyki, położyła się na jedwabnych poduszkach i udała się ku Palatynowi w towarzystwie Sabiny, która idąc przy lektyce, osłaniała ją wachlarzem z piór pawich, utwierdzonych na trzcinie indyjskiej.

Przez trzysta blisko kroków, lektyka szła tą samą drogą Świętą, którą Aktea już przebywała w świetle cesarza; zwracając się potem na prawo, przeszła między świątyniami Feba i Jowisza Statora, wstąpiła na kilka stopni, wiodących do Pa-



latynatu i nie dochodząc do wieńczącej górę wspaniałej płaszczyzny, udała się przez pagórek Saburański i Via Nova; zbliżywszy się na koniec ku Juternęskiemu wodotryskowi, zatrzymała się u progu małego odosobnionego domku. Wnet dwaj Liburnijczycy ustawili z każdej strony lektyki stopnie, okryte purpurowym kobiercem, troszcząc się, aby ta, którą im cezar na panią przeznaczył, nie trudziła się nawet potrzebą wskazywania, z której strony wysiąść by chciała.

Aktea była zapewne oczekiwana, gdyż za jej zbliżeniem drzwi się otworzyły i wnet zamknęły się jak tylko weszła, chociaż nie widać było, ktoby pełnił obowiązki janitora. Towarzyszyła jej tylko Sabina, a myśląc, że po tak długiej i nużącej podróży, pani jej życzyłaby sobie wziąć kąpiel, zaprowadziła ją do *apoditorium*. Aktea wszakże, jeszcze wzruszona i roztargniona tem dziwnem zrzędzeniem losów, które ją wtrąciły w orszak pana świata, usiadła na ławie, otaczającej dokoła salę, dając znak Sabinie, aby wstrzymała się na chwilę. Chciała rozważyć swe położenie, lecz nie zdołała jeszcze zebrać myśli, gdy oto jakby potężna wola niewidzialnego pana, którego los jej narzucił, zmusiła ją do zaniechania rozmyślań; nagle bowiem rozległy się dźwięki słodkiej, czarownej muzyki, tak przedziwnie urządzonej, że cały przestwór izby jednocześnie obejmowała harmonja. Snać Neron, zauważywszy w ciągu podróży, jaki wpływ wywierały na młodą Greczynkę dźwięki, zawczasu kazał przygotować tę rozrywkę, by rozpraszała smutek i tęsknotę kochanki.

Nie zawiódł się w przewidywanych skutkach. Zaledwie bowiem Aktea usłyszała pierwsze akor-

dy, uniosła głowę, zatrzymały się lzy, płynące po jej twarzy, a ostatnia kropla, drgając chwilę na długich rzęsach, jakby kropla rosy na słupkach kwiatu, tak, jak rosa pod promieniem słońca, zdawała się usychać pod ogniem spojrzenia, które zaćmiewała przed chwilą: barwa żywej purpury ożywiła bladość lic i ust, wpółotwartych jakby do uśmiechu lub pocałunku.

Wówczas do swej pani zbliżyła się Sabina. Aktea już się nie opierała, lecz sama pomagała do rozebrania się tak, iż wszystkie szaty opadły z niej po chwili, odsłaniając ją nagą, zaplonioną, jak Wenus wstydliwą, odsłaniając wdzięki tak doskonale, tak dziewiczej piękności, że niewolnica stanęła w zachwyceniu; gdy zaś Aktea, chcąc się udać do następnej komnaty, oparła rękę na jej nagiem ramieniu, uczuła, że służącą dziwne ogarnęło drżenie i zauważyła, że zawsze blada twarz Sabiny, okrywa się rumieńcem, jakby nagle dotkniętą została płomieniem. Na ten widok, Aktea zatrzymała się, myśląc, że coś złego wyrządziła swej służebnicy; ale ta, spostrzegając się, ujęła żywo jej rękę i kładąc ją znów na swe ramię, weszła z nią śpiesznie do *tepidarium*.

Była to izba rozległa w czworobok, której środek zajmowała znaczny zbiornik ciepłej wody, podobny do małego jeziora. Młode niewolnice, z głowami uwieńczonemi trzcina, narcyzami i grzybieniami, igrały na jej powierzchni jak Najejady, a spostrzegłszy Akteę, popchnęły ku niej konchę z kości słoniowej, wysadzoną korałem i perłową macią. Aktea patrzyła na wszystko, co się dokoła niej działo, jak na przewijające się pasmo czarodziejskich obrazów, rozwijających się w sennem marzeniu, poddawała się też ule-

gle wszystkiemu. Weszła tedy do owej wątlej łodzi i jak Wenus, otoczona swym morskim orszakiem, popłynęła ku środkowi wodnej przestrzeni.

Rozkoszna muzyka, którą niedawno podziwiała, rozległa się na nowo; śpiewy Najad połączyły się z jej brzmieniem. Śpiewały one baśń o Hylasie, czerpiącym wodę na brzegach Troady, i jak Nimfa rzeki Askanios, co wabiła tego ulubieńca Herkulesa poruszeniami i głosem, tak niewolnice wyciągały ręce ku Aktei, zapraszając ją do swego grona. Zwyczajne były młodej Greczynce igraszki wodne; tysiące razy, z towarzyszkami wplaw przebywała odnogę Korynecką; rzucała się więc bez obawy w to morze ciepłe i wonne, gdzie ją niewolnice przyjęły, jak swą królowę.

Wszystkie one były piękne i kształtne i starannie dobrane. Niektóre przywieziono z Kaukazu, inne były z Galji, z Indji, z Hiszpanji; a jednak wśród całej tej gromady, wybranej dla miłości i rozkoszy, Aktea zdawała się boginią.

Po pewnym czasie, gdy się, jak Syrena, prześliznęła po powierzchni wody, gdy się zanurzyła w niej, jak Najada i wypluskała w tem udanem jeziorze, zauważyła, że brakło Sabiny w jej orszaku wodnym, a szukając jej wzrokiem, ujrzała niewolnicę, siedzącą z głową okrytą połą płaszczem. Poufała i wesoła, jak dziecię, Aktea zawołała ją do siebie. Sabina odrzuciła płaszcz, jakby z wysiłkiem. Wszystkie inne niewolnice, z dziwnym i niepojętym dla Aktei śmiechem, głosem płochym i żartobliwym, wołały, aby do nich przybyła. Przez chwilę zdawało się, że Sabina usłucha wezwania. Coś dziwnego działo się w jej duszy: oczy gorzały, twarz płonęła. A jednak

lzy toczyły się z jej powiek i zraszały rozpalone lica. I zamiast ulec temu, czego sama zdawała się pragnąć, pomknęła ku drzewom, jakby się chciała uchronić od tych rozkosznych czarów.

Lecz Aktea wybiegła z wody i przecięła jej drogę wśród śmiechów całej gromady. Sabina zdała się bliska omdlenia; kolana jej drgały, zimny pot spływał po czole; наконец zbładła tak widocznie, że Aktea sądząc, iż upadnie, wyciągnęła ręce i wsparła ją na swej piersi; natychmiast jednak odepchnęła ją z krzykiem stłumionej bólesci. W dziwnym przystępie jakiegoś szału, Sabina dotknęła usty ramienia swej pani i ukąsiła ją z dziwną zawziętością, poczem, snąc przerażona swym postępkiem, skwapliwie wybiegła z komnaty.

Na krzyk Aktei przybiegły niewolnice i skupiły się dokoła niej; ale ona, obawiając się, aby Sabina nie została ukarana, ukryła ból i z przymuszonym uśmiechem starła kilka kropel krwi, spływającej po jej piersi naksztalt płynnego koralu. Zresztą tak małej wagi był ten wypadek, że prócz zdziwienia, nie mógł innego uczucia w niej obudzić; udała się więc do izby sąsiedniej, zwanej *caldarium*.

Była to mała, okrągła sala, opatrzona dokoła stopniami i wąskimi niszami, w których znajdowały się siedzenia; wielkie naczynie z wrzącą wodą zajmowało środek izby, wypełniając ją gęstą parą, ogrzewaną zzewnątrz piecem, z którego płomienie obiegały kanały w rozmaitych kierunkach, opasując *caldarium*, naksztalt bluszczu, pnącego się po murze.

Gdy Aktea, nieprzyzwyczajona do tych kąpiel, które tylko w Rzymie były znane i uży-

wane, weszła do tej izby, tak ją odurzyły owe masy pary, której gęste klęby przewalały się tu naksztalt obłoków, że zdyszana i bez głosu wyciągnęła ręce, usiłując wołać o ratunek; lecz za ledwie mogła wydać jęk, stłumiony i przerywany łkaniem; usiłowała rzucić się ku drzwiom, ale za trzymana przez niewolnice upadła, dając znak, że się dusi. Natychmiast jedna z kobiet pociągnęła za łańcuch i otworzyła się złota tarcza, przykrywająca otwór w suficie, wpuszczając do tej atmosfery, już niemożliwej do oddychania, prąd świeżego powietrza, prąd życia.

Aktea czuła, że pierś jej jakby się rozszerzyła, uwolniła z duszącego uścisku, a zarazem, że ją ogarnia dziwnie jasne osłabienie. Pozwoliła się zaprowadzić na stół i usiadła, przyzwyczajając się stopniowo do tej zgęszczonej atmosfery, zdającej się w płynny płomień przeistaczać krew w żyłach. Po chwili para tak się ogrzała i zgęstniała, że znów musiano uciec się do złotej tarczy. I tym razem prąd świeżego powietrza sprowadził na kąpiące się grono tak błogie obczwładnienie, że młoda Greczynka zaczęła pojmować namiętne usposobienie Rzymianek do tego rodzaju kąpieli, która zrazu tyle jej sprawiła przykrości. Raz jeszcze zgęstniała para, lecz już nie otworzono tarczy, gdy zaś Aktea uczuła się znowu bliską omdlenia, zbliżyły się dwie kobiety i owinały ją szkarłatnym płaszczem z wełnianej tkaniny, wyniosły do izby o temperaturze zwykłej.

Tu się odbyła inna czynność, równie dziwna, ale już mniej nieprzyjemna, jak w *caldarium*. Było to masowanie ciała i naciąganie stawów, operacja tak w skutkach rozkoszna, że ją mieszkańcy Wschodu przejęli od Rzymian i aż do naszych

dni przechowali. Dwie niewolnice, biegle w tej czynności, nacierały Akteę i naciskały jej ciało dopóty, dopóki jej członki zupełnie nie zmiękły i nie utraciły zwykłej jędrności; potem naciągały stawy jedne po drugich tak silnie, że każdy wydawał trzask, lecz bez bóleści i nie milego przymusu; biorąc małe naczynia z rogu nosorożca z oliwą i wonnemi esencjami, namaściły niemi całe ciało i wytarły naprzód cienką wełną, potem najdelikatniejszym egipskim muślinem, nakoniec łabędziemi skórami, okrytemi tylko puchem, bez pierza.

Przez cały ten czas Aktea leżała z przymkniętymi oczyma, pogrążona w rozkosznych uczuciach, bez głosu i myśli, ogarnięta jakąś błogą lecz dziwną sennością, zostawiającą jej jedynie wrażenia nieznanej dotąd pełni istnienia. Pierś jej nie tylko się rozszerzyła, ale z każdym tchnieniem życie zdało się napływać do niej przez wszystkie pory ciała. Było to tak potężne, tak absolutne wrażenie fizyczne, że pod jego wpływem nie tylko zatarły się ślady wspomnień przeszłości, ale nadto znikły cierpienia obecne; niepodobieństwem było w takim usposobieniu wierzyć w nieszczęście i życie przedstawiało się w tej chwili wyobraźni młodej dziewczyny jako nasmo błogich i rozkosznych wzruszeń, snutych bez kształtów wyraźnych wśród jakiejś cudnej a nieokreślonej przestrzeni...

W owem półuśpieniu, podczas tych marzeń bez myśli, Aktea usłyszała skrzypnięcie drzwi izby, w głębi której leżała; lecz ponieważ w jej dziwnym stanie każde poruszenie było utrudnione, nie odwróciła głowy, sądząc zresztą, że wchodziła jedna z niewolnic. Pozostała więc



z oczyma przymkniętymi, słysząc, jak ku jej łóżu zbliżał się odgłos kroków powolnych i miarowych, z których każdy w niepojętych dźwiękach zdawał się odbijać w jej uszach; z wysiłkiem obróciła głowę, a skierowawszy wzrok w stronę, skąd usłyszała owe kroki, spostrzegła zbliżającą się ku sobie majestatycznej powagi niewiastę w ubiorze rzymskiej matrony, okrytą długą, powłóczystą szatą. Zatrzymała się ona przy łóżu i utkwiała w Aktei głębokie, badawcze spojrzenie, podobne do wzroku wieszczki, przed którym nic się utaić nie zdoła. Przypatrywała się tak w milczeniu pewien czas Greczynce, potem głosem cichym a jednak dźwięcznym i tak przejmującym, iż każde słowo zdawało się przenikać jakby ostrze sztyletu w serce Aktei, rzekła:

— Tyś jest ową Koryntjanką, która opuściła Ojczyznę i ojca, aby towarzyszyć cesarowi, nieprawdaż?

Całe życie Aktei, szczęście i rozpacz, przeszłość i przyszłość, odsłoniły te cierpkie wyrazy tak, iż nagle uczuła się zanurzoną, jakby w oceanie wspomnień. Obraz szczęśliwych dni, kiedy zbierała kwiaty u źródła Pireny; rozpacz starego ojca, gdy po dniu igrzysk wołał ją do siebie na próżno; przybycie do Rzymu, gdzie tak nagle odsłoniła się tajemnica, którą aż do tej chwili ukrywał przed nią potężny kochanek; wszystko to ukazało się z po za czarodziejskiej zasłony, uniesionej lodowatą dłonią tej nieznanomej kobiety. Aktea wydała krzyk i okrywając twarz obiema dłońmi, zawołała ze łkaniem:

— Ach! tak, tak, ja jestem tą nieszczęśliwą!...

Po tej odpowiedzi zapanowało milczenie. Aktea nie śmiała otworzyć oczu, wciąż ją prze-

szywał i przygnębiał surowy i dumny wzrok owej kobiety. Po chwili nieznajoma wzięła jej rękę, którą sobie twarz osłaniała, Aktea zaś, upatrując w tem dotknięciu, jakkolwiek zimnem i szorstkiem, więcej politowania niż groźby, ośmieliła się podnieść powieki łzami zroszone. Nieznajoma nie spuszczała oczu z jej wylękłych lic.

— Słuchaj — rzekła wreszcie nieco łagodniej — przeznaczenie często dziwnemi kroczy drogami i dziwnych do swych celów używa pośredników. Często w ręce dziecka składa szczęście lub niedolę mocarstwa. Kto wie, może ty jesteś nie narzędziem gniewu bogów, lecz posłanką ich łaski...

— Zgrzeszyłam — zawołała Aktea — ale zgrzeszyłam tylko miłością; niema złych uczuć w mem sercu! Teraz, gdy już sama nie mogę być szczęśliwą, chciałabym przynajmniej widzieć wszystkich szczęśliwymi!... Lecz jestem sama jedna, bezsilna, słaba. Wskaż, co mam czynić, a czynić będę!

— Przedewszystkiem, czy znasz tego, któremu powierzyłaś swój los?

— Od dziś dopiero wiem, że Lucjusz i Neron są jedną osobą, że mój kochanek jest cezarem. Córka starożytnej Grecji, zostałam uwiedziona pięknnością, zręcznością, melodją. Udałam się za zwycięzcą igrzysk, nie wiedząc, że to pan świata!...

— Zatem już wiesz — rzekła powoli i dobitnie nieznajoma — że to Neron; ale czy wiesz, kto jest Neron?

— Nawykłam go uważać za boga — odparła Aktea.

— Ja ci powiem — rzekła nieznajoma, siadając — kto on jest, trzeba bowiem, aby kochanka

znała człowieka, którego kocha, a niewolnica swego pana.

— Cóż usłyszę? — szepnęła Aktea.

Nieznajoma w ten sposób rozpoczęła opowieść:

— Lucjusz urodził się zdala od tronu; zbliżył się do niego przez powinowactwo, a zasiadł na nim przez zbrodnię.

— Nie on ją popełnił! — zawołała Aktea.

— On z niej korzystał — odparła zimno nieznajoma. — Zresztą burza, która obaliła drzewo, uszanowała latarośl. Ale syn rychło poszedł za ojcem: Brytannikus leżał przy Klaudjuszu, a tym razem mordercą był sam Neron.

— Któż to śmie utrzymywać? — zawołała Aktea — któż może go o tak okropną zbrodnię oskarżać?!

— Ty wątpisz, dziewczyno? — mówiła dalej nieznajoma, nie zmieniając zimnego i surowego tonu. — Jeśli chcesz wiedzieć, jak się ta zbrodnia spełniła, ja ci opowiem.

Dnia pewnego, w izbie stykającej się z tą, w której przebywał dwór Agrypiny, Neron bawił się z młodzieniaszkami, między którymi był Brytannikus; rozkazał mu on udać się do sali biesiadnej i śpiewać wiersze, mniemając, że zatrwoży dziecię i wystawi je na pośmiewisko swych dworzan. Brytannikus był posłuszny: wszedł w białej szacie do *triclinium*, gdzie się odbywała wyuzdana biesiada, stanął blady i smutny między biesiadnikami i głosem wzruszonym, ze łzawą żreńnicą, zaśpiewał wiersze, które Ennius, nasz stary poeta, kładzie w usta Astyanaksa:

„O mój ojczel o domu Prjama! wspaniały pałac! świątyni kolumno o kapitelach, jaśniejących

złotem i kością słoniową!... Jam widział, jak padałaś pod dłonią barbarzyńców! jak się stałaś łupem płomieni!"

Wnet śmiech łzom miejsca ustąpił, rozpusta i wyuzdanie zostały spoliczkowane tym bolesnym wyrzutem, zaczerpniętym z krynicy poetyckiego natchnienia. Odtąd los Brytannika był już rozstrzygnięty.

W więzieniach Rzymu jęczała zbrodniarka, słynna ze swych trucizn i nieprzeliczonych zbrodni. Neron wezwał do siebie trybuna Polliona Juliusza, przełożonego nad więzieniem, wtenczas bowiem on, cesarz, nie śmiał jeszcze mówić sam z tą kobietą. Nazajutrz Pollio Juliusz przyniósł mu truciznę, którą zaprawili czarę Brytannika sami jego nauczyciele; lecz czy to z obawy, czy z litości, cofnęli się mordercy przed zbrodnią; napój nie był śmiertelny. Wówczas Neron — cesarz — zważył dobrze — Neron — bóg, jak go nazwał przed chwilą, wezwał trucicieli do swego pałacu, do swej komnaty, przed ołtarz opiekuńczych bogów domowego ogniska i tam, tam kazał sporządzić napój zabójczy. Doświadczono go najprzód na koźle: ten żył jeszcze pięć godzin, a przez ten czas przewarzano i wzmacniano truciznę; potem dano ją dzikowi, który padł natychmiast!... Neron udał się do kąpieli, namaścił wonnościami, wdział białą szatę i zasiadł z uśmiechem na ustach u stołu obiednego w pobliżu Brytannikusa.

— Lecz jeżeli — przerwała Aktea głosem drżącym — Brytannikus był rzeczywiście otruty, jakże się stało, że niewolnik, kosztujący napoje i dania, nie doznał skutków trucizny? Powiadają,

że Brvtanikus cierpiał na wielką chorobę; może to jeden z iei paroksvzmów...

— Tak właśnie mówi Neron... i w tem się okazuje piekielną chvtróść. Tak jest, wszvstkie napoje, wszvstkie potrawy, które spożywał Brvtanikus, były wprzód kosztowane: dano mu jednak napóji tak goracy, że go mógł skosztować niewolnik, ale nie mogło wvpić dziecię; wówczas dolano zimnej wody do czary i w tej wodzie była truczizna.

Była to silna i pewnie urzadzona truczizna, bo Brvtannikus, bez krzyku, bez żadnej skargi, zamknął oczy i upadł. Kilku mniej roztronnvch uciekło!... Najprzezorniejsi zostali wybladli, drżacy, domvślając się prawdy. Co do Nerona, który śpiewał w tej chwili, to przechvlił się na łożu i przypatruiac się Brvtannikowi, rzekł:

— To nic, za chwilę przvjdzie do siebie!

I śpiewał dalej nieśń rozpoczętą.

A jednak już wszvstko zawczasu sam przygo-  
tował do pogrzebu, już nawet stał stos na polu Marsowem i tej nocy zaniecono tam trupa, na którego ciele powvstenowały fioletowe plamy. Lecz zdało się, że bogowie wzdrvgali się na zbrodnię bratobóistwa, bo potrzykroć deszcz ulewny gasił stos! Wówczas Neron powlec kazał ciało żywica i smołą. Czworthy raz usiłowano stos rozpa-  
lić: tym razem ogień, trawiący trupa, wzniósł się ku niebu wysoka kolumną, unosząc tam gniewnego ducha Brvtannika.

— Lecz Burrus! lecz Seneka!... — zawołała Aktea.

— Burrus, Seneka!... — powtórzyła z goryczą nieznanoma — zatkano im dłonie srebrem, a usta złotem i milczeli!...

— Niestety! niestety! — szepnęła Aktea.

— Od dnia tego -- mówiła dalej niewiasta, która snąć dobrze znała wszystkie tajemnice dworu cezara — od dnia tego Neron, ów szlachetny syn Aenobardów, stał się godnym potomkiem tego plemienia o brodzie miedzianej, o obliczu z żelaza i sercu z ołowiu; od dnia tego, opuścił Oktawję, której winien był tron, wygnał ją do Kampanji, gdzie ją kazał mieć na oku, i otoczywszy się woźnicami, histrjonami i nierządnicami, zaczął wieść to życie sromotne, które od dwóch lat Rzym trwogą i zgrozą przejmuje.

Twój bowiem kochanek, dziewczyno, twój piękny, olimpijski zwycięzca, ten, którego świat zowie cezarem, którego dworzanie czczą, jak boga, — gdy noc nadchodzi, opuszcza swój pałac, przebrany za niewolnika i z głową przykrytą czapką wyzwolenca, dąży do mostu Milwjusza, lub do jakiejś szynkowni Saburranu. Tam otoczony sprośną gawiedzią, przy dźwięku cymbałów kapłana Cybeli albo fletu ladacznicy, przebiega ulice miasta, znieważając kobiety, bijąc przechodzących, rabując domy i dopiero o świcie wraca do Złotego Pałacu, często z obliczem pokrytem znakami kija lub pięści.

— To niepodobna! — zawołała Aktea — ty go spotwarzasz...

— Mylisz się, dziewczyno, mówię zaledwie część prawdy.

— Lecz czy nie lękasz się kary za wyjawianie podobnych tajemnic?

— Być może, że narażam się na zemstę, a zresztą jestem na to przygotowana.

— Jakto... narażasz się świadomie, dobrowolnie?

— Bo ja tylko jedna nie mogę od niej się usunąć...



— Kto zatem jesteś?

— Jego matka!...

— Agrypina! — wykrzyknęła Aktea, porywając się z łoża i padając na kolana — Agrypina! córka Germanika!... siostra, wdowa i matka cesarów!... Agrypina stoi przede mną, biedną dziewczyną Grecji! O! i czegoś chcesz ode mnie? Mów, rozkazuj, a będę ci posłuszna, jeżeli tylko nie masz zamiaru wymagać, abym go kochać przestała... gdyż, pomimo wszystkiego coś mi powiedziała, kocham go i kochać będę zawsze. Lecz jeżeli nie zdołam ci być posłuszna, zdołam umrzeć przynajmniej.

— Przeciwnie, moje dziecię — rzekła Agrypina — kochaj zawsze cesarza miłością wylaną, bez miary, jaką czułaś dla Lucjusza, bo w tej miłości cała moja nadzieja, bo czystość jednej zdoła może zwyciężyć zepsucie drugiej.

— Drugiej! — powtórzyła z przestachem dziewczyna. — Miałaby cesarz kochać drugą?

— Ty o tem nie wiesz, moje dziecię?

— Jakżebym wiedzieć mogła!... Gdybym poszła za Lucjuszem, co mię obchodzić mógł cesarz? Ukochałam prostego artystę i powierzając mu moje życie, sądziłam, że mi całą szczerością uczucia odpłaci! Lecz któż jest ta kobieta?...

— Córka, co się zaparła ojca, — żona, co zdradziła małżonka!... Na nieszczęście, zbyt piękna kobieta, której bogowie niczego więcej nie odmówili, prócz serca: Sabina Poppea.

— Ach! tak, tak, znane mi to imię. Słyszałam tę ohydłą powieść, nie wiedząc, że mię tak blisko obchodzić będzie. Podśluchałam skrycie, jak ją mój ojciec opowiadał drugiemu starcowi i obaj rumienili się ze wstydu!... Wszak ta kobieta opuściła Kryspina, swego małżonka, dla kochanka

Ottona?... Prawda? A kochanek sprzedał ją potem w czasie uczty, za rządu Luzatynji?

— Nie mylisz się — potwierdziła Agrypina.

— I on ją kocha!... kocha jeszcze! — wyszczerzyła z boleścią Aktea.

— Tak — odpowiedziała Agrypina z wyrazem nienawiści — kocha ją, kocha zawsze, bo w tem tkwi jakaś tajemnica, jakiś napój miłosny, jakaś czarnoksięska zaprawa, coś takiego, jak to, czem Cezonja raczyła Kaligulę!...

— Sprawiedliwe bogi — zawołała Aktea — czyliżem niedosyć ukarana, niedosyć nieszczęśliwa?...

— Mniej jesteś nieszczęśliwa i mniej ukarana, niż ja — rzekła Agrypina — boś mogła odrzucić jego miłość, a mnie go narzucili bogowie jako syna. Czy wiesz teraz, co ci czynić wypada?

— Oddalić się od niego, nie oglądać go więcej..

— Strzeż się tego, moje dziecko. Mówią, że on cię kocha.

— Mówią to? Byłaby to prawda? Czy ty temu wierzysz?

— Wierzę.

— O! bądź błogosławiona!

— Zważ więc: trzeba nadać cel, kierunek tej miłości; trzeba od niego oddalić tego wysłańca piekieł, który go wiedzie do zguby — a może ocalałszy Rzym, cezara i mnie także.

— Ciebie! Czyli sądzisz, że śmiałyby...

— Neron waży się na wszystko...

— Lecz czyż mogę podolać takim zamiarom, ja!...

— Tyś może jedna z kobiet dość czysta, aby im podolać.

— Nie, nie! lepiej będzie, gdy odjadę!... gdy go nigdy już nie ujrzę!

— Boski cesar pragnie widzieć Akteę — ozwał się łagodny głos młodego niewolnika, który przed chwilą drzwi otworzył.

— Sporus! — zawołała Aktea ze zdziwieniem.

— Sporus! — powtórzyła Agrypina, okrywając głowę swą stołą.

— Cesar czeka — rzekł niewolnik po chwili milczenia.

— Spiesz się! — rzekła Agrypina.

— Idę... — szepnęła Aktea.

## VIII

Okrywszy się zasłoną i płaszczem, Aktea udała się za Sporussem.

Po przejściu licznych części pałacu, których Greczynka jeszcze nie знаła, przewodnik otworzył drzwi złotym kluczem i klucz ten oddał jej, aby mogła sama powrócić.

Znaleźli się w teraz w ogrodach Złotego Pałacu. Aktei wydało się, że jest gdzieś za miastem, tak rozległy i wspaniały widok roztoczył się przed jej oczyma. Przez gęstwą drzew ukazywała się wielka przestrzeń wody, podobna do jeziora, a za nią, w niebieskawej, usrebrzonej światłem księżyca dali, wystrzelały kolumnady pałacu. Powietrze było czyste — ani jeden obłok nie plamił niebieskiego przezrocza; jezioro zdawało się wielkiem zwierciadłem, a ostatnie głosy Rzymu, blizkiego uśpienia, gasły w przestrzeni. Sporus i młoda dziewczyna, oboje w białych szatach, zdawali się dwoma cieniami, błakającymi się po Elizejskich polach.

Nad brzegami jeziora, na przestronnych smugach, opasujących lasy, jakby w afrykańskich sa-

motniach, pasły się stada dzikich gazel, gdy tymczasem na sztucznie wytworzonych ruinach, przypominających Aktei jej starożytną Ojczyznę, długie, białe ptaki, o skrzydłach ognistych, stały nieruchome i poważne, jakby na czatach, wydając w przerwach krzyk chrapliwy i jednotonny.

Zbliżywszy się do brzegu jeziora, Sporus wszedł do łódki i dał znak Aktei, by obok niego usiadła; rozwinąwszy potem mały żagiel purpurowy, zaczęli ślizgać się, jakby mocą czarów, po powierzchni, iskrzącej się tu i owdzie złotą łuską najrzadszych ryb morza Indyjskiego. Ta nocna żegluga przypominała Aktei jej podróż po morzu Jońskim, gdy wpatrując się w niewolnicę, dziwiła się nadzwyczajnemu podobieństwu między bratem i siostrą, które już ją uderzyło w Sabinie, a teraz na nowo uderzało w Sporusie. Co do młodzieńca, ten z okiem bojaźliwie spuszczone, zdawał się unikać jej spojrzeń i milcząc sterował łódką. Nakoniec milczenie przerwała Aktea, odzywając się głosem, na którego brzmienie wzdrygnął się młody niewolnik:

— Sabina powiedziała mi, żeś został w Koryncie, Sporusie — dlaczegoś skłamała?

— Sabina mówiła prawdę — odparł Sporus — ale nie mogłem długo być oddalony od Lucjusza. Na odpływającym do Kalabrii okręcie puściłem się w drogę; gdy zaś zamiast udać się przez cieśninę Messyńską, zawinął prosto do Brindes, podążyłem drogą Appijską i chociaż w dwa dni wyjechałem po cesarze, z nim razem stanąłem w Rzymie.

— Była to bezwątpienia wielka radość dla Sabinie, gdyż bardzo musicie się kochać?

— Nie mylisz się — potwierdził Sporus — nie

tylko bowiem jesteśmy rodzeństwem, ale nawet bliźniętami.

— Powiedz więc Sabinie, niech przyjdzie do mnie jutrzejszego poranku.

— Sabiny niema już w Rzymie.

— Dlaczegoż go opuściła?

— Taka była wola boskiego cezara.

— Dokądże się udała?

— Nie wiem.

W głosie niewolnika, jakkolwiek pełnym uszanowania, tyle było wahania i niepewności, że Aktea musiała zaniechać dalszych pytań; zresztą w tej chwili przybili do brzegu i jak tylko Aktea wysiadła, Sporus wyciągnął łódź na brzeg i oboje udali się w dalszą drogę.

Młoda Greczynka szła milcząc, krokiem przyspieszonym, bo przechodzili właśnie las sosen i sykomorów tak gęsty i ciemny, że chciała być blisko niego, chociaż wiedziała, że na pomoc z jego strony nie mogła w żadnej rachować przygodzie. Było tu istotnie ponuro i strasznie, a w dodatku jakieś głosy żalosne, jakby wydzierające się z wnętrza ziemi, obijały się o jej uszy; wkrótce, rozległy się już wyraźnie bolesne jęki ludzkie.

Młoda dziewczica zadrżała i opierając rękę na ramieniu Sporusa, z przestrawieniem zawołała:

— Co to znaczy?

— To nic — odparł lekceważąco Sporus.

— Zdaje mi się jednak, że słyszałam...

— Jęki. Nieinaczej, przechodziemy bowiem blisko więzień.

— Któż są ci więźniowie?

— Chrześcijanie, przeznaczeni do cyrku.

Aktea szybkim krokiem zaczęła uchodzić, bo mijając kratę podziemnych więzień, usłyszała znów tak żalosne i przejmujące jęki, że uczuła się

wstrząśnięta do głębi. Zawsze wprawdzie przedstawiano jej chrześcijan, jako sektę występłą i bezbożną, kalającą się w wyuzdanej rozpuście i najohydniejszych zbrodniach, w tej chwili jednak obudziło się w jej sercu współczucie, jakie nawet najwięksi przestępcy, skazani na okropną śmierć, w litościwych sercach zwykli obudzać. Pospieszała więc, aby jak najprędzej opuścić ponury las, a stanąwszy u jego kresu, ujrzała pałac oświetlony wspaniałe i usłyszała słodkie dźwięki muzyki. Światło i harmonijne brzmienia orzeźwiły ją, pewniejszym przeto krokiem, weszła do przysionka.

Tu stanęła na chwilę olśniona niemal oślepiającym przepychem. Nigdy nie marzyła o podobnych wspaniałościach. Przysionek, jaśniejący bronzami, kością słoniową i złotem, był tak rozległy, że go otaczał potrójny rząd kolumn, tworząc portyki o tysiącach kroków długości i tak zarazem wysoki, że pośrodku stał posąg, mierzący sto dwadzieścia stóp, dzieło Zenodosa, przedstawiającego cezara jako boga. Aktea ze drżeniem przeszła około tego posągu. Jakże potężna i straszna musiała być władza tego człowieka, który kazał rzeźbić swe wizerunki trzykroć wynioślejsze niż Jowisza Olimpijskiego; który dla swych przechadzek miał ogrody podobne do lasów, a dla rozrywki tysiące więźniów, rzucanych na łup lwów i tygrysów?

Z uczuciem głębokiej trwogi a nawet przerażenia, Aktea weszła na schody, wiodące do komnat Lucjusza; obawa jej, w miarę zbliżania się do celu, tak wzrosła, że gdy spostrzegła, iż Sporus wydobywa klucz, aby drzwi ostatnie otworzyć, musiała przystanąć, jedną ręką wsparła się na jego ramieniu, a drugą usiłowała przytłumić gwałtowne



uderzenia serca. Dopiero po chwili zdołała się uspokoić i dała znak Sporusowi, aby drzwi otworzył. Niewolnik spełnił rozkaz. Aktea weszła do komnaty i spostrzegła Lucjusza w prostej białej tunice, uwieńczonego gałęzią oliwną, wół leżącgo na łożu. Na widok ukochanego, lica jej rozpozgodziły się, dręczące obawy znikły. Cezar, pan świata, przejmował ją trwogą i grozą; ale w tej chwili miała przed sobą Lucjusza, pięknego złotobrodęgo młodzieńca, którego wiodła do domu swojego ojca; odzyskała swego zwycięzcę olimpijskiego: nie było cezara. Chciała biedz ku niemu, lecz w połowie drogi siły ją opuściły: przyklękła na jedno kolano, wyciągając ręce ku kochankowi i zdołała zaledwie wyszemrać:

— Lucjusz... zawsze Lucjusz... nieprawdaż?...

— Tak, tak, moja piękna Koryntjanko, bądź spokojna! — rzekł cezarski głosem łagodnym, dając znak, aby się do niego zbliżyła. — Zawsze Lucjusz! Nieprawdaż, żeś mnie pod tem ukochała imieniem, ukochała dla mnie, a nie dla mojej wielkości, jak wszystkie te, co mnie tu otaczają?... Zbliź się, moja Akteo! powstań! Świat u nóg moich, ale ty w moich objęciach!

— O wiedziałam o tem! — zawołała Aktea, rzucając się na szyję kochanka — byłam pewną, iż oszczerstwa rozsiewają ci, którzy głoszą, iż mój Lucjusz jest okrutnikiem!

— Okrutnikiem — powtórzył Lucjusz. — I któż to ci powiedział?...

— Przebacz — podchwyciła Aktea — oni tak nie mówią. Lew, pan zwierząt, równie szlachetny i nieustraszony, jak ty, pan ludzi, jest okrutny, ponieważ nie znając swej siły zabija, gdy chce tylko pogłaskać. O mój lwie! bądź ostrożnym z twoją gazelą!...

— Nie lękaj, Akteo — rzekł cesarz z uśmiechem — lew ma szpony i zęby na tych tylko, którzy ośmielają się stawiać przeciw niemu... Patrz, u nóg twoich kładzie się kornie jak baranek!

— Ja się też nie Lucjusza obawiam. O! dla mnie Lucjusz to mój gość, mój kochanek, to ten, co mnie zabrał Ojczyźnie i ojcu, i ma odpłacić miłością za miłość... Ale obawiam się...

Tu przerwała, widocznie strwożona tem, co miała na myśli, lecz gdy Lucjusz ośmielił ją gestem dobrotliwym, zakończyła:

— Obawiam się cesarza, który wygnał Oktawję... Nerona, przyszłego męża Poppei!...

— Tyś widziała moją matkę! — zawołał Lucjusz, zrywając się gwałtownie i wpatrując się w twarz Aktei. — Widziałas moją matkę?!

— Tak jest — wyszeptała młoda dziewczyna, drżąc.

— Tak — odezwał się po chwili Neron z goryczą — widziałas ją i ona powiedziała ci, żem okrutny, nieprawdaż? żem dusił w uciśnieniu? żem tylko piorunami podobny do Jowisza? Ona to odurzyła cię bajką o Oktawji, którą sama proteguje, a której ja nienawidzę, którą mi narzuciła, a którą zaledwie zdołałem odepchnąć!... Zaiste, mylą się ci, co mniemają, że cośkolwiek wymóc można na mnie przymusem lub groźbą. Chciałem zapomnieć o tej kobiecie, ostatniej z przeklętego plemienia! Niechże mi jej więc nie przywodzą na pamięć!...

Lucjusz spostrzegł, że słowa jego przeraziły Koryntjankę. Pobladała, oczy jej zaszyły łzami, drżenie ją przejęło pod wrażeniem gniewu kochanka, którego pierwszy raz w takim rozrządzeniu widziała.

W samej rzeczy, głos jego tak dotąd słodki, poruszający najskrytsze tajniki jej serca, w jednej chwili przybrał wyraz złowieszczy i straszny, a oczy, w których dotąd miłość tylko widziała, miały owemi groźnemi błyskawicami, przed któremi Rzym truchlał i martwiał.

— O mój ojczy! mój ojczy! — zawołała, wybuchając łkaniem — o mój ojczy przebacz mi!...

— Rozumiem! — podchwycił Neron — tak mówisz, bo powiedziała ci Agrypina, że za twą miłość dosyć ukarana zostałaś moją miłością; bo ci dała uczuć, że srogie i dzikie ukochałaś zwierzę; bo ci opowiedziała śmierć Brytannika! śmierć Juliusza Montana! i nie wiem co więcej jeszcze. Ale nie powiedziała ci przecież tego, że jeden z nich chciał pozbawić mnie władzy, a drugi mnie kijem po twarzy uderzył. Pojmuję to łącznie: życie mojej matki jest tak czyste! tak szlachetne! tak cnotliwe!...

— Lucjusz! Lucjusz! — przerwała z krzykiem Aktea — zamilcz! W imię bogów, zamilcz!

— W połowie tylko wprowadziła cię do tajemnic naszej rodziny, posłuchaj więc i reszty — mówił cesarz, nie zważając na jęki Koryntjanki. — Ta kobieta, co mi wyrzuca śmierć dziecka i nędznika, wygnana została za wyuzdaną rozpustę przez Kaligulę, jej brata, który przecież surowością obyczajów wcale się nie odznaczał. Przywołana z wygnania, gdy Klaudjusz objął władzę, zaślubiła Kryspina Passiena, patrycjusza znakomitego rodu, który był tak niebaczny, że zapisał jej niezliczone skarby, a ona kazała go zamordować, ponieważ osądziła, iż żył zadługo dla jej chciwości. Wówczas rozpoczęła się walka pomiędzy nią a Messaliną. Messalina upadła. Klaudjusz

był nagrodą zwycięstwa i Agrypina została jego kochanką. Teraz powzięła myśl panowania pod mojem imieniem. Oktawja, córka cezara, była zaręczona z Sylanusem. Agrypina porwa go, od stóp ołtarzy i znajduje fałszywych świadków, którzy go oskarżają o zbrodnię. Sylanus zabija się. Oktawja jest wdową. Rzucają ją wtedy w moje objęcia i pojąć ją musiałem, chociaż serce moje inną przejęte było miłością! Wkrótce potem pewna kobieta usiłuje wydrzeć jej niedoleżnego kochanka. Świadkowie, którzy oskarżyli Sylanusa o zbrodnię, oskarżają Lollję Paulinę o czary — i Lollja Paulina, która uchodziła za najpiękniejszą kobietę, którą uroczyście zaślubił Kaligula, którą ukazywał Rzymianom gdy miała na sobie za czterdzieści milionów sestercyj szmaragdów i pereł, — umiera powoli na torturach. Wówczas Agrypiny nic już nie dzieli od tronu. Synowica zaślubia stryja. Zostałem przysposobiony przez Klaudjusza i Senat mianował Agrypinę *Augustą*.

— To nie wszystko — mówił dalej Neron, chwytając za ręce Akteę, która usiłowała zasłonić sobie uszy, aby nie słyszeć, jak syn oskarżał swą matkę. — Dnia pewnego Klaudjusz skazał na śmierć cudzołożnicę. Wyrok ten przejął trwogą Agrypinę i Pallasę. Nazajutrz cesarz obiadował w Kapitolium z kapłanami. Jego niewolnik, Hylotus, zastawił mu półmisek grzybów, zaprawionych przez Lokustę; lecz gdy doza trucizny nie była dość silna i Klaudjusz, powalony na łożo, pasował się ze śmiercią, lekarz jego, Ksenofon, pod pozorem sprawienia mu ulgi, wprowadził do gardła jego zatrute pióro i po raz trzeci Agrypina owdowiała. Wszak zamilczała o tej pierwszej części swoich dzieł, swoich szlachetnych czynów,

nieprawdaż? Zamilczała i zaczęła odtąd, jak mnie wyniosła do władzy, sądząc, że sama panować będzie pod mojem imieniem, że będzie ciałem a ja cieniem, rzeczywistością, a ja marą. Jakoż odtąd miała straż pretorjańską, przewodniczyła w Senacie, wydawała wyroki, skazała na śmierć wyzwolenca Narcyssa, na otrucie prokonsula Juliusza Sylana. Gdy dnia pewnego uskarżałem się, że mię zupełnie od władzy usuwa, oświadczyła, że za wiele mam władzy jak na przybłądę, na dziecko przysposobione i że, szczęściem, ona i bogowie zachowali życie Brytannika!... Przysięgam ci, że gdy mi to mówiła, nie myślałem wtedy wcale o tem dziecku, tak jak dziś daleką była ode mnie myśl o Oktawji. Właśnie ta pogroźka, a nie trucizna, stała się dlań ciosem zabójczym.

— O! zamilcz! — powtórzyła przerażona Aktea.

— Nieprawdaż, że dziwny jest nasz ród? — ciągnął szyderczo Neron, jakby naigrawając się z jej trwogi. -- Dziwny ród... To też czynią nas bogami, nie uznając za właściwe, byśmy za ludzi byli uważani. Mój wuj udusił swego opiekuna w poduszce, a swego teścia w kąpieli. Mój ojciec, na Forum, wysadził laską oko patrycjuszowi; na drodze Appijskiej zgruchotał pod kołami wozu młodego Rzymianina, który niedosyć szybko ustąpił mu z drogi; a raz, u stołu, przy młodym cesarzu, któremu towarzyszył na Wschód, zamordował nożem do krajania potraw swego wyzwolenca, który pić nie chciał. Jużem ci powiedział, co uczyniła moja matka: zabiła Passiena, zabiła Sylanusa, zabiła Lollję Paulina, zabiła Klaudjusza, ja zaś, ja ostatni, na którym gaśnie imię rodu mojego, gdybym był tylko cesarzem, a nie

synem miłującym zarazem, zabiłbym moją matkę!...

Aktea wydała okrzyk okropny i padła na kolana, wyciągając ręce ku cesarzowi.

— Co czynisz? — rzekł Neron, uśmiechając się z dziwnym wyrazem — bierzesz żart za prawdę. Tak, żart, kilka wierszy, co mi zostały w pamięci z „Oresta“, którego niedawno opiewałem, a które zmieszały się z moją prozą. Uspokój się, przestań być dzieckiem. Czy przyszedł tu modlić się? Czym cię sprowadził na to abyś ścierała sobie kolana i wykręcała ręce w tej błagalnej postawie? Dalej, podnieś się! Alboż to ja cesarz, Neron? Alboż Agrypina moją matką? Wszystko to śniło ci się moja piękna Koryntjanko: jam Lucjusz, atleta, woźnica, śpiewak o tkliwym głosie i nic więcej.

— Ach! westchnęła Aktea, opierając głowę na ramieniu Lucjusza — sądziłabym istotnie, że mi się śni to wszystko i że się zaraz przebudzę w domu mojego ojca, gdybym w głębi serca nie czuła prawdy mojej miłości. O Lucjuszu, Lucjuszu, nie czyń sobie ze mnie igraszkę!... Czy nie widzisz, że tylko na wątłej nici zawieszona nad przepaścią piekła? Ulituj się nad nią słabością, ratuj mieszający się rozum...

— Skądże ta bojaźń, ten niepokój? Czy moja Helena nie jest ze swego Parysa zadowolona? Czy pałac, w którym mieszka, nie zdaje się jej dosyć wspaniały? Każemy postawić jej inny, o srebrnych kolumnach i złotych kapitelach. Czy jej uchybili niewolnicy? Ma ona nad nimi prawo życia i śmierci. Czego chce? czego pragnie? Wszystko, czem człowiek, cesarz, czem bóg może obdarzyć, na jedno swoje skinienie otrzyma.



— Wiem, żeś potężny; wierzę, że mnie kochasz; wierzę też, że uczynisz wszystko, o co cię tylko poproszę, wszystko, — ale nie napelnisz ukojnym spokojem mej duszy, nie zdołasz uszczęśliwić mnie przekonaniem, że należysz tak wyłącznie do mnie, jak ja do ciebie należę. Wiem teraz, czuję, widzę, że potężna część twojej miłości ulatuje ode mnie, powleka się cieniem i ginie w mrokach. Rzym, państwo, świat, woła ciebie! Jesteś moim tylko na chwilę... Masz tajemnice, które nie mogą być mojemi tajemnicami, nienawiści, których nie mogę podzielać, miłości, których znać nie powinnam. Wśród naszych najczulszych wynurzeń, najśłodzych rozmów, drzwi się otworzą, jak się właśnie otwierają w tej chwili i wyzwoleniec z obliczem onieniałem da ci znak tajemniczy, którego nie będę mogła, nie będę powinna zrozumieć... Patrz, przeczucia moje zaczynają się spełniać.

Wskazała drzwi, w których stanął wyzwoleniec.

— Czego chcesz Anicetusie — zapytał Neron, zwracając się do niego.

— Ta, którą boski cesarz zawezwał, czeka na jego rozkazy.

— Powiedz, że wnet tam idę.

Wyzwoleniec wyszedł.

— Widzisz — szepnęła Aktea, wpatrując się ze smutkiem w kochanka.

— Nie rozumiem cię — rzekł Neron.

— Kobieta czeka na ciebie.

— Nie przeczę.

— Uczułam, że wzdrygnąłeś się, gdy ci ją oznajmiono.

— I podejrzewasz w tem może oznakę miłości?

- Ta kobieta, Lucjusz...
- Mów... czekam.
- Ta kobieta...
- Cóż więc, ta kobieta?
- Ta kobieta nazywa się Poppea?
- Mylisz się — odpowiedział lodowatym głosem Neron — ta kobieta nazywa się Lokusta...

## IX

Neron wstał i udał się za wyzwoleniec.

Po przebyciu kilku zakrętów tajnymi korytarzami, znanymi tylko cesarzowi i jego najzaufanyszemu niewolnikom, weszli do małej izby bez okien. Światło i powietrze przenikało do niej z góry otworem, który jednak był głównie przeznaczony do usuwania wyziewów, unoszących się z pieców spiżowych, w tej chwili zimnych, ale napełnionych węglami, które rozpalano za pomocą iskry i mieszka. Przy ścianach stały jakieś narzędzia z gliny i szkła, których dziwaczne kształty przypominały ryby i ptaki. Różnorodnych rozmiarów naczynia, starannie zamknięte pokrywami, na których widniały napisy, kreślone nieznanymi charakterami, stały na umieszczonych dookoła izby podstawach, opasując tę czarnoksięską pracownię, naksztalt pasów tajemniczych, którymi owijano mumie. Nad tem wszystkim wisiały na złotych łańcuchach, przytwierdzonych do takichże haków, zioła suche i świeże, zbierane w porze zalecanej przez magów, to jest na początku kalendarium, gdyż wtedy czarodzieje nie są dostępni dla blasku słońca i księżyca. Wisiały też prze-

różne słoje i puzdra, z których jedne zawierały słynne maści, czyniące człowieka niezwyciężonym, sporządzane z wielkim nakładem i trudem z głowy i ogona skrzydlatego węża, z włosów wyrwanych ze łba tygrysa, ze lwiego szpiku i z piany konia zwycięzcy; w innych mieściły się potężne talizmany z krwi bazyliszka, zwanej także krwią Saturna, które zapewniają ziszczenie wszelkich życzeń; w innych nakonec znajdowały się osobliwości, cenione na wagę djamentów, a pomiędzy nimi było kilka cząstek tej niezmierznie rzadkiej wonności, którą dotąd jeden tylko Juliusz Cezar posiadał, a którą otrzymywano ze złota, nigdy nie wystawionego na działanie ognia. Między ziołami widniały wieńce ze słoneczników, kwiatu zapewniającego szczęście i sławę; pęki wrzосу afrykańskiego, rwanego lewą ręką z korzeniami suszone w cieniu, dawały wesołość i radość; gdy skropiono *triclinium* odwarem z kilku liści w ten sposób zerwanej rośliny, nie było tak ponurego biesiadnika, tak surowego filozofa, któryby nie został natychmiast przejętym rozkosznem uczuciem wesołości.

Kobieta w czarnej szacie, z podniesioną z jednej strony do kolan fałdą, za pomocą złotej zapony, przyczepionej do przepaski, trzymała w lewej ręce różdżkę czarodziejską, która wskazywała ukryte skarby i czekała na Nerona. Siedziała zamysłona tak głęboko, że nie zauważyła przybycia cezara. Neron zbliżał się do niej powoli, a na obliczu jego malowała się obawa, wstręt i wzgarda. Stanąwszy przed nią, skinął na Anicetusa, który dotknął ręką ramienia czarnoksiężnicy. Ta podniosła głowę powoli, wstrząsając nią dla odrzucenia włosów, które jakby zasłoniły twarz jej

okrywały, ile razy miała czoło spuszczone. Była to kobieta lat trzydziestu pięciu do trzydziestu siedmiu, piękna niegdyś, ale uwiędła przed czasem wskutek bezsenności, rozpusty, a może wyrzutów sumienia.

Nie podnosząc się z miejsca, zwróciła się do Nerona z zapytaniem:

— Czego chcesz jeszcze ode mnie?

— Przedewszystkiem powiedz mi, czy pamiętasz przeszłość?

— Spytaj Tezeusza, czy pamięta otchłań.

— Wiesz, że cię wydobyłem z podziemnego więzienia, gdzie powolnie konałaś wśród błota, które ci służyło za legowisko i gadów, które się roili na twojem ciele.

— Było tak zimno, że tego nie czuła.

— Wiesz, że cię umieściłem w domu, który umyślnie kazałem zbudować dla ciebie, a który ozdobiłem, jak dla kochanki. Przemyśl twój nazwany zbrodnią: ja go nazwałem sztuką; prześladowano twoich współników: jam ci dał uczniów.

— A ja ci wzamian oddałam połowę potęgi Jowisza... nagięłam pod twoje rozkazy — śmierć, tę ślepa i głucha córę snu i nocy.

— To dobrze, widzę, że masz pamięć. Wezwalem cię...

— Kto ma umrzeć?

— Musisz to sama odgadnąć, ja ci tego powiedzieć nie mogę. Jest to wróg zbyt niebezpieczny, abym mógł nawet posagowi milczenia imię jego powierzyć. Bądź jednak ostrożną: nie chcę bowiem, aby trucizna była tak powolną jak dla Klaudjusza, albo, żeby zawiodła w pierwszej próbie, jak na Brytanniku. Musi zabić w mgnieniu

oka, nie dając czasu na wyrzeczenie słowa lub danie znaku. Rozumiesz? Potrzeba mi takiej trucizny, jaką w tem samem miejscu ongi przygotowaliśmy, doświadczając jej siły na dziku.

— O! rzekła Lokusta głucho — gdyby tylko szło o taką truciznę, a nawet o jeszcze straszniejszą, nie nad to łatwiejszego; lecz gdym ci przyrzadzała tę, o jakiej mówisz, wiedziałam dla kogo jest przeznaczoną; wiedziałam, że ma być zadana dziecku. Ale są ludzie, jak Mitridat, na których najsilniejsza trucizna żadnego nie wywiera wpływu, gdyż stopniowo przyzwyczaili swój żołądek do znoszenia soków najjadowitszych i najśmiertelniejszych potraw. Gdyby sztuka moja miała się spotkać z jedną z tych żelaznych natur, trucizna okazałaby się bezskuteczną a ty powiedziałabyś, że ci oszukała.

— I wtrąciłbym cię napowrót — dodał Neron — do więzienia, w którym ongi pozostawałaś, powierzyłbym cię znowu straży Polliona Juliusza. Uczyniłbym to z pewnością. Zastanów się więc.

— Wymień mi ofiarę, a otrzymasz odpowiedź.

— Powtarzam, że nie mogę, nie chcę ci jej wymienić. Czy nie posiadasz sztuki odgadywania? czarów, za pomocą których stawia się przed twemi oczami mary w zasłonach, od których możesz się wszystkiego dowiedzieć. Próbój. Sam nie chcę wskazać ci ofiary, ale nie wzbraniam ci odgadnąć.

— Nic tu nie mogę uczynić.

— Nie jesteś przecież uwięziona.

— Powrócę za dwie godziny.

— Będę ci towarzyszył.

— Nawet na górę Eskwilińską?

— Wszędzie.

- I pójdiesz sam jeden?
- Sam, jeżeli tego potrzeba.
- Pójdź więc.

Neron dał znak Anicetusowi, aby się oddalił i sam udał się za Lokustą, nie mając innej broni prócz swego miecza. Niektórzy jednak utrzymywali, że dniem i nocą nosił na ciele pancerz w karpią łuskę, tak zręcznie wyrobiony, że się naginał do wszystkich poruszeń ciała, miał hart nieprzepuszczający najostrzejszego pocisku, wyrzuconego z najsilniejszej dłoni.

Szli ciemnymi ulicami Rzymu, bez niewolnika i światła, aż do Velobrium, gdzie był dom Lokusty. Czarodziejka zapukała we drzwi trzy razy: otworzyła stara niewiasta, dopomagająca jej w czarodziejskich czynnościach i usunęła się na bok z uśmiechem, widząc pięknego młodziana, który przybywał pewnie, jak sędzia, aby dostać napoju miłosnego. Lokusta otworzyła drzwi swej pracowni i skinęła na cezara, aby wszedł za nią.

Zbiór dziwnych i strasznych przedmiotów uderzył oczy Nerona: mumje egipskie i kościotrupy etruskie stały przy ścianach: krokodyle i ryby kształtów osobliwych wisiały pod sufitem na niewidzialnych niciach żelaznych; postacie z wosku rozmaitej wielkości stały na podstawach, z igłami lub sztyletami w sercu. Wśród tego zgrozę i lękiem przejmującego zbiorowiska, latała bez szelestu spłoszona sowa i przysiadła co chwila tu i owdzie, złowrogo klekocząc dziobem i błyskając ślepiami, podobnemi do rozżarzonych węgli, w kącie izby, czarna owca beczała smutnie, jakby przeczuwając los ją oczekujący. Ponad temi ponuremi gł. samy wzbijały się dziwnie przejmujące jęki, które zwróciły uwagę Nerona. Za-



czał się starannie rozglądać i spostrzegł pośrodku izby jakby wyrastający z ziemi jakiś przedmiot, którego kształtów nie mógł zrazu rozróżnić. Była to głowa ludzka. Czy jej zdradzały życie, szyję zaś opasywał wąż, którego język ruchliwy, czarny, zwracał się co chwila ku Neronowi, potem zatapiał w misie mleka, stojącej w pobliżu. Około tej głowy były ustawione, jak około Tantala, napoje, potrawy i owoce, widocznie w celu zadania straszliwych męczarni, nie mogących ich dosięgnąć ustom. Ta właśnie głowa wydawała owe przejmujące skargi.

Tymczasem Lokusta rozpoczęła swe czaro-dziejskie czynności. Skropiwszy cały dom wodą z jeziora Awerneńskiego, rozpałała ogień z gałęzi cyprysów i sykomorów, ułamanych z drzew rosnących na grobach, rzuciła nań pierze sowy skropione juchą ropuchy i dodała ziół, zbieranych w Jolkos i w Hiberji. Nachyliwszy się nad tym ogniem, mruzczała wyrazy niezrozumiałe: potem, gdy zaczął gasnąć, rozejrzała się dokoła, jak gdyby czegoś szukając i świsnęła przenikliwie. Na ten znak, wąż podniósł głowę, wyprężył się do połowy ciała; usłyszawszy drugie świnięcie, rozwinął się zwolna; gdy wreszcie czarownica świsnęła po raz trzeci gniewnie i nagłaco, gad przyczółgał się ku niej zwolna i bojaźliwie. Czarownica ujęła go tuż przy łbie i zbliżyła się ku płomieniom ogniska. Gad całem swem ciałem owinał się dokoła jej ręki i zaczął wydawać bolesne sykania; ona jednak ciągle trzymała go przy ogniu, dopóki jadowita paszcza nie okryła się pianą, której kilka kropel stoczyło się w płomień. Tego tylko chciała Lokusta; niezwłocznie też puściła węża, który uciekł szybko, opasał piszczel

kościotrupa, wpelzł po nim do wnętrza klatki piersiowej, gdzie drżał z boleści, zadanej przez ogień.

Wówczas Lokusta zebrała popioły i dogasające węgle ogniska do amiantowej tkaniny, ujęła powróż, do którego była przywiązana czarna owca i zwracając się ku Neronowi, przypatrującemu się tajemniczym praktykom z nieczułością posagu, zapytała go — czy wciąż trwa w postanowieniu towarzyszenia jej na górę Eskwilińską. Neron odpowiedział skinieniem głowy, poczem wyszli.

Gdy zamykali drzwi, dał się słyszeć głos błagający o litość z taką boleścią, że Neron nawet uczuł się wzruszony i chciał zatrzymać Lokustę; ale czarownica odpowiedziała, że najmniejsze opóźnienie uniemożliwi zamierzone dzieło, lub co najmniej znacznie je odwlecze, to więc zniewoliło cezara do pospieszenia za nią. Neron, któremu praktyki czarodziejskie nie były obce, domyślał się zresztą co znaczyła owa jęcząca głowa. Była to głowa zagrzebanego w ziemię dziecka, które czarownica dręczyła głodem i pragnieniem, zwiększając męczarnie widokiem jadła i napoju, zastawionego tuż przy ustach nieszczęsnej ofiary, aby po jej śmierci ze szpiku kości i z serca, wyschłego z rozpacz, przygotować ów słynny napój miłosny, który bogaci rozpustnicy rzymscy, lub kochanki cesarów opłacali tak drogo, iż za tę cenę można było kupić całą prowincję.

Neron i Lokusta, podobni do dwóch cieniów, szli czas jakiś w milczeniu krętymi ulicami Volatubrium; przeszli potem około muru wielkiego cyrku i stanęli u podnóża Eskwilinu. W tej chwili księżyc, w pierwszej kwadrze, wychylił się z poza szczytu wzgórza; zaraz też odbiły się na usrebrzonym błękitie nieba liczne krzyże, na których

wisiały, przybite ćwiekami, ciała złodziei, morderców i chrześcijan, jednaką karą dotkniętych. Neron sądził zrazu, że czarownica któregoś z tych trupów do swych praktyk użyje; ale przeszła koło nich nie zatrzymując się i uklękawszy na małej wyniosłości, zaczęła, jak hjena, grzebać dół rękami; potem w wykopaną jamę wsypała resztki ogniska, przyniesionego w amiantowej tkaninie, przegryzła arterje szyi czarnej owcy i krwią, która popłynęła obficie, przygasiła tlejące jeszcze węgle.

W tej chwili księżyc spowinał się chmurą, jakby nie chcąc być świadkiem ohydnej sceny. Chociaż jednak ciemność okryła górę, Neron widział, jak przed wieszczbiarką zjawił się wyrosły z jamy cień, z którym przez kilka chwil szeptała pocichu; przypomniał sobie wówczas, że właśnie w tem miejscu została pogrzebana zaduszona za liczne morderstwa czarownica Kanidja, o której mówią Horacjusz i Owidjusz i nie wątpił, że to z jej cieniem przeklętym rozmawiała Lokusta. Po chwili mara znikła pod ziemią, księżyc znów zajaśniał na niebie i Neron spostrzegł zbliżającą się do niego wybladłą i drżącą Lokustę.

— Cóż więc? — zapytał.

— Cała moja sztuka jest tu bezsilna — odparła czarownica ponuro.

— Jakto... więc nie posiadasz trucizn niezasadnie śmiertelnych?

— Na moje trucizny ona posiada broń niezwalczoną.

— Znasz więc tę, której śmierć przeznaczyłem?

— To twoja matka.

Neron zmarszczył czoło, milczał przez chwilę, poczem rzekł zimno:

— Wynajdę zatem inny sposób.

Oboje zeszli z przekłętej góry, a po chwili zniknęli w ciemnych i opustoszałych ulicach, wiodących z Velobrium do Palatynu.

Nazajutrz Aktea otrzymała od swego kochanka pismo, polecające jej, aby się udała do Bai, gdzie przybyć miał z Agrypiną, na obchód uroczystości Minerwy.

## X

Ośm dni upłynęło od wycieczki Nerona do Lokusty. Była godzina wieczorna. Księżyc podniósł się z wolna z poza Wezuwjusza i rozlewał swe promienie po całym wybrzeżu neapolitańskim. W srebrzystym jego świetle błyszczała odnoga Puzzoli, którą ciemną linią przerzynał most przerzucony, z porady astrologa Trazyllesa, na rozkaz trzeciego cezara, Kaja Kaliguli. Na brzegach jej tworzących półkole, zatoczone od Pausylipu do przylądka Mizeńskiego, gasły jedne po drugich światła miast, wsi i willi rozkosznych, przeglądających się w falach i współzawodniczących z modremi wodami Cyrenaiku. Wśród powszechnego milczenia, ślizgały się jeszcze tu i owdzie zapóźnione łodzie, zmierzające przy pomocy trójkątnego żagla, lub podwójnego wiosła, do portu Oenarji, Procity albo Bai. Znikła nakoniec ostatnia z nich, zatoka opustoszała, tylko kilka statków, uwiązanych do brzegu, naprzeciw ogrodów Hortensjusza, między willą Juljusza Cezara i pałacem Bauli, kołysało się sennie na falach wśród ciszy nocnej.

Żaden obłok nie zasnuwał wspaniałego lazuru nieba, żadna fala nie marszczyła zwierciadlanej powierzchni morza, w której przeglądał się księżyc, majestatycznie płynący wśród niebiańskiej przezroczystości.

Już zagasły ostatnie światła Puzzoli i tylko latarnia Miżeńskiego przylądka płonęła jeszcze, jak pochodnia w ręku olbrzyma. Była to jedna z owych nocy rozkosznych, podczas których Neapolis, piękna córka Grecji, rozpuszcza na wiatr swe pomarańczowe warkocze i kapie w wodach marmurowe swe łono. Kiedy niekiedy rozlegało się w powietrzu jedno z tych tajemniczych westchnień, jakie uśpiona ziemia zasyla do nieba, a na widnokręgu wschodnim, biały dym Wezuwjusza podnosił się wśród tak spokojnej atmosfery, że zdawał się alabastrową kolumną, szczątkiem jakiegś rozwalonego Babelu.

Nagle, wśród tej ciemności i milczenia, majtkowie spoczywający w łodziach, uwiązanych do brzegu, spostrzegli poza drzewami, przesłaniającymi Bauli, dymiące światła pochodni. Usłyszeli też wesołe głosy zbliżające się ku brzegowi. Po chwili, z blizkiego pomarańczowego gaju wyszedł świetny orszak, oblany potokami licznych światel, rozbrzmiewający wrzawą radosną i skierował się ku statkom. Sternik bogato rzeźbionej i uwieńczonej kwiatami triemmy \*), kazał rozesłać purpurowy kobierzec na pomoście, łączącym brzeg ze statkiem, i rzuciwszy się na kolana, oczekiwał w postawie pełnej czci i trwogi, na zbliżających się, śnać potężnych przybyszów.

---

\*) Statek o trzech rzędach wiosel.

Jakoż na czele orszaku kroczył sam cesarz Neron. Szedł z Agrypiną, a pierwszy to raz od śmierci Brytannika matka opierała się na ramieniu syna. Oboje, syn i matka, mieli twarze pogodne, rozradowane, rozmawiali serdecznie, zdawali się być w najlepszym porozumieniu. Zbliżywszy się do triemmy, orszak zatrzymał się, a Neron, wobec całego dworu, uściskał matkę tkliwie, ze łzami w oczach, jak gdyby z wielkim żalem przychodziło mu się z nią rozstać; wreszcie, rzekomo gwałt sobie zadając, wyrwał się z objęć i zwracając się do przywódcy triemmy, rzekł:

— Anicetusie, powierzam ci moją matkę, pamiętaj, głową mi za nią odpowiesz!

Agrypina weszła na triemnę, która odpłynęła powoli od brzegu. Neron stał pewien czas na brzegu, żegnając matkę czule, a ta mu odpowiadała z okrętu. Dopiero gdy statek znacznie się oddalił, Neron wrócił do Bauli, Agrypina zaś zeszła do przygotowanej dla siebie kajuty.

Zaledwie się położyła na purpurowem łożu, gdy podniosła się opona i młoda dziewczica, blada i drżąca, padła jej do nóg, wołając:

— O moja matko! moja matko! ratuj mnie!

Agrypinę w pierwszej chwili przejęła trwoga, która jednak ustąpiła zdziwieniu, gdy poznała w przybyłej piękną Koryntjankę. Rzekła tedy, wyciągając do niej rękę:

— Aktea! Ty tu, na moim okręcie, błagająca o ratunek... I od kogoż mam ratować ciebie, dziecko drogie? Jesteś przecie zaiste potężna, skoroś mi syna miłość przywrócić zdołała?

— Ratuj mnie i broń od niego, ode mnie samą, od mojej miłości... Od tego dworu, który



mnie przeraża; od tego świata, tak dla mnie nowego, niepojętego...

— Biedaczko, uspokój się najprzód — rzekła Agrypina. — Przypominam sobie, żeś znikła w połowie uczty. Neron pytał się o ciebie, kazał cię szukać. Dlaczegożeś uciekła?

— Dlaczego? Ty się o to pytasz? Czy może uczciwa kobieta... ach przebacź!... uczestniczyć w podobnej biesiadzie, na widok której rumieniłaby się ze wstydu same nawet kapłanki Wenery? O moja matko!... Czyś nie słyszała tych pieśni? czyś nie widziała tych nagich niewiast... tych kułgarzy, których każde poruszenie było hańbą, nietyle dla nich, ile dla tych, którzy patrzeć na to byli zmuszeni! Nie mogłam znieść podobnego widoku, uciekłam do ogrodu. Ale tam... znówu to samo... Te ogrody były zaludnione, jak starożytne lasy: przy każdym źródle mieszkała jakaś Nimfa bezwstydną; każdy krzak ukrywał jakiegoś rozpustnego Satyra... I czy dasz temu wiarę, matko? Między tymi mężczyznami i niewiastami, poznawałam matrony i patrycjuszów... Uciekłam więc z ogrodów z równą zgrozą, jak od stołu... Znalazłam się na drodze do morza, rzuciłam się na brzeg... spostrzegłam triemnę i poznałam, że to twoja. Oznajmiłam, że należę do twego orszaku i mam czekać na ciebie. Wpuszczono mnie, a wśród majtków i żołnierzy, tych ludzi nic nie krzesanych, uczułam się spokojniejsza, zaczęłam oddychać swobodniej, niż u stołu Nerona, który przecież otaczały najznamienitsze postacie Rzymu.

— Biedne dziecię! Czegoż ode mnie żądasz?

— Schroniska w twoim domu przy jeziorze

Lukryńskiem, miejsca między twemi niewolnicami, zasłony, abym mogła pod nią ukryć wstyd, którym cała płonę...

— Nie chcesz już zatem oglądać czczara?

— O moja matko!...

— Chcesz go więc opuścić zbłąkanego, jak okręt bez sternika, na tem morzu rozpusty?

— O moja matko! gdybym go mniej kochała, mogłabym może przy nim pozostać; lecz czy możesz żądać ode mnie, abym patrzyła na to, jak on obdarza miłością inne kobiety, powtarzając im to samo, co ja od niego słyszę? To niepodobna, żebym oddając mu wszystko, nie otrzymywała w zamian nic prawie... Zginęłabym sama wśród tego zgubionego i zatraconego świata; pozostając wśród tych kobiet, stałabym się do nich podobna: nosiłabym sztylet u paska, truciznę w pierścieniu, a potem...

— Czego chcesz, Acerronio? — przerwała Agrypina, zwracając się ku młodej niewolnicy, która weszła w tej chwili.

— Czy mogę mówić? — szepnęła zapytana głosem stłumionym.

— Mów.

— Dokąd się udajesz, pani moja?

— Do mojej willi przy jeziorze Lukryńskiem. wszakże wiesz o tem.

— Sądziłam, że tam dążymy, i istotnie zrazu płynęłyśmy w tę stronę, lecz nagle statek zmienił drogę i płynie teraz na pełne morze...

— Na pełne morze! — powtórzyła zaniepokojona Agrypina.

— Patrz — rzekła niewolnica, podnosząc zasłonek okna — latarnia przyładka powinna być już daleko za nami, a oto jest z prawej strony; za-

miast zbliżyć się ku Puzzoli, oddaliśmy się od niej całą siłą żagłów i wiosel.

— W samej rzeczy — szepnęła Agrypina — cóżby to miało znaczyć? Gallusie! Gallusie!...

Młody patrycjusz rzymski ukazał się w drzwiach — Agrypina zwróciła się do niego z poleceniem:

— Powiedz, Gallusie, Anicetusowi, że mówić z nim pragnę.

Gallus wyszedł z Acerronją.

Naraz kajutę zaległy ciemności.

— Sprawiedliwe bogi! — zawołała Agrypina — latarnie gasną jakby mocą czarów... Akteo, Akteo, coś mi tu zgotowano niegodziwego... Ach! ostrzegano mnie, żebym nie jechała do Bauli, ale nie chciałam słuchać nierozsądna!... Cóż więc, Gallusie? — zapytała młodego patrycjusza, który wrócił do kajuty.

— Anicetus nie może stawić się na twe rozkazy: zajęty jest spuszczeniem łodzi na morze.

— Pójdę więc sama do niego... Ach!... co znaczą ten hałas nad nami... Na Jowisza! jesteśmy skazani... Oto okręt się rozpada!

Jakoż zaledwie Agrypina wyrzekła te słowa, rzucając się w objęcia Aktei, gdy runął z łoskotem unoszący się nad ich głowami pomost, który tworzył sufit kajuty...

Agrypina i Aktea uważały się za zgubione; szczęśliwym trafem jednak podpory baldachimu, wznoszącego się nad łóżem były tak silne, że utrzymały ciężar walącego się sklepienia, którego drugi koniec zmiażdżył Gallusa, stojącego u wnijscia do kajuty. Agrypina i Aktea ocalały pod baldachimem.

Naraz zgiełk i wielkie krzyki rozległy się na pokładzie statku, jednocześnie pod kajutą dał się

słyszeć głuchy szmer i obie kobiety uczuły, że po-  
dłoga usuwa się z pod ich stóp... Spód statku roz-  
padał się, jakby o skałę podwodną strzaskany; wo-  
da gwałtownie wdzierала się do wnętrza triremy.

Agrypina domyśliła się strasznej prawdy: rze-  
koma katastrofa była wyrokiem cezara, po mi-  
strzowsku obmyślonym i upozorowanym. Obejrza-  
ła się wokół: tu sufit zawieszony na włosku i gro-  
żący zmiążdżeniem — tam woda, wdzierająca się  
gwałtownie. Ale okno było jeszcze otwarte: to je-  
dyna droga ocalenia. Pociągnęła więc ku niemu  
Akteę, dając znak, aby milczała szybkim i naka-  
zującym skinieniem, które mówiło, że tu idzie  
o życie, i obie, nie patrząc za siebie, bez wahania,  
wyskoczyły przez nie, trzymając się za ręce.

Mniemały w pierwszej chwili, że jakaś piekiel-  
na potęga wtrąciła je w najgłębsze otchłanie mo-  
rza. Strzaskany statek, kołując, szedł na dno,  
a wir, przez to tworzony, porwał je za sobą. Za-  
nurzały się tak przez kilka sekund, które im zdały  
się wiekiem. Wreszcie uczuły, że się już przestają  
zagłębiać, potem, że płyną w górę, наконец, wpół  
omdlałe, wróciły na powierzchnię.

W tej chwili, jakby przez zasłonę, ujrzały ja-  
kąś głowę, ukazującą się przy łodziach, jednocześ-  
nie usłyszały rozpaczliwe wołanie:

— Jestem Agrypina, jestem matka cezara, ra-  
tujcie mnie!

Aktea także chciała wołać o pomoc, ale Agry-  
pina zasłoniła jej usta dłonią, więc głos jej wydał  
tylko dźwięki stłumione i niewyraźne. Po chwili,  
Agrypina, utrzymująca się na wodzie jedną ręką,  
ukazała jej drugą wiosło, podnoszące się i rozbija-  
jące głowę Acerronji, która była tak niebaczną, iż  
wzywała na ratunek morderców, nasłanych na A-  
grypinę, mieniać się matką cezara...

Ocalone kobiety płynęły do brzegu. Tymczasem Anicetus, sądząc, że wypełnił zlecenie, zmierzzał ku Bauli, gdzie oczekiwał nań cesarz. Niebo wciąż było czyste i morze spokojne; ale tak wielka była odległość do brzegu od miejsca, w którem Agrypina z Akteą rzuciły się do wody, że chociaż już płynęły więcej niż pół godziny, jeszcze się znajdowały o pół mili od lądu. W dodatku Agrypina, wyskakując ze statku, zraniła się w ramię i teraz czuła, że jej drętwieje prawa ręka i staje się bezwładną. Rychle też spostrzegła Aktea, że jej towarzyszka płynie z coraz większą trudnością; przesunęła się więc na drugą stronę i wsparłszy rękę Agrypiny na swej szyi, utrzymywała ją w ten sposób na powierzchni wody, chociaż matka cesarza błagała ją, aby o sobie tylko myślała, a jej pozwoliła zginąć.

Tymczasem Neron wrócił do pałacu Bauli i zasiadając znów przy stole biesiadnym, przywołał nowe tancerki i nowych kuglarzy. Orgja rozpoczęła się w najlepsze. Po chwili cesarz ujął lirę i zaczął deklamować rapsod Homera o oblężeniu Troi. Wzdrygał się jednak raz po raz, czuł, że krew mu w żyłach lodowacieje i pot zimny występuje mu na czoło. Zdawało mu się bowiem, że powiew śmiertelny unosi się wśród rozkosznej atmosfery biesiady i owiewa całą jego postać. Naraz do komnaty wsunął się niewolnik i szepnął mu słów kilka do ucha. Neron pobladł, rzucił lirę, zerwał z głowy wieniec i wybiegł z komnaty, nie rzekłszy słowa. Ale wszyscy domyślili się odrazu, że musiało się zdarzyć coś strasznego. Rychło też biesiadna komnata opustoszała, goście co do jednego opuścili ją, ogarnięci trwogą i przeczuciem grozy.

Neron udał się do swej komnaty i kazał przy-

wołać Anicetusa. Ten, skoro tylko wrócił do portu, zdał zaraz sprawę, w jaki sposób wykonał zlecenie, a cesarz, ufając jego wierności, nie wątpił, iż mówi prawdę. Zdumiał się przeto powiernik, gdy Neron rzucił się do niego z wściekłością, wołając:

— Powiedziałeś mi, że nie żyje, a oto w tej chwili przybywa od niej posłaniec... Co to znaczy?!

— Musi więc chyba przybywać z piekieł — odparł, nie wierząc uszom Anicetus. — Na własne oczy widziałem, jak statek strzaskany tonął, słyszałem głos, wołający: — Jestem Agrypina, matka cesarza, ratujcie! — Widziałem, że wiosła zmiażdżyły głowę tej, co tak niebacznie wzywała ratunku!...

— Żeś widział, to Acerronja zginęła, a moja matka ocalała...

— Kto to powiedział?

— Wyzwoleniec Agerinus.

— Czy go widziałeś, panie?

— Jeszcze nie.

— Co rozkazuje uczynić boski cesarz?

— Mogę na ciebie rachować?

— Życie moje należy do cesarza.

— Udać się do komnaty przyległej, a gdy zawołam o ratunek, wpadnij żywo, przytrzymaj Agerinusa i świadcz, żeś widział, jak miecz swój na mnie podnosił.

— Słowa twoje są prawem — rzekł Anicetus, zginając się kornie, poczem udał się do przyległej komnaty.

Neron, zostawszy sam, wziął zwierciadło, a widząc twarz zmienioną, pokrył bladeść jej różem; poprawiwszy potem pukle włosów na głowie i fałdy togi, jakby miał wystąpić na scenie teatru, po-



łożył się w wyszukanej pozie na łożu i czekał na posłańca.

Goniec ów przybywał z oznajmieniem, że matka cezara ocalała. Opowiedział dziwną katastrofę triremy i dodał potem, że Augusta Agrypina uratowaną została przez łódź w chwili, gdy tracąc siły, tylko od bogów wyglądała zbawienia... Ta łódź z zatoki Puzzoli zawiozła ją nad jezioro Lukryńskie kanałem wykopanym z rozkazu Klaudjusza. Do willi przeniesiono Agrypinę w lektyce, tam poleciła zawiadomić syna o wypadku, że się znajduje pod strażą bogów, zaklina go przeto, aby wstrzymał swe odwiedziny, choć może pragnie ją zobaczyć, jest bowiem wyczerpana i potrzebuje spoczynku.

Neron słuchał relacji uważnie, udając kolejno przestrah, zadziwienie i radość, stosownie do treści opowiadania; lecz gdy się wreszcie dowiedział o rzeczy najważniejszej, to jest o miejscu schronienia matki, cisnął obnażony miecz pod nogi wyzwolenca i zaczął wzywać ratunku. Natychmiast przybiegł z komnaty przyległej Anicetus, pochwycił posłańca Agrypiny i podniósłszy miecz, leżący u jego nóg, oddał go jako dowód rzekomego zamachu wraz z winowajcą pretorjańskiemu centurjonowi, przybyłemu ze swym oddziałem na wołanie cezara, poczem rozgłosił po całym pałacu, że Neron omal nie został zamordowany z rozkazu swej matki.

Agrypina została uratowaną przez łódź rybacką późno wracającą do portu; ale przypuszczając, że zemsta Nerona może ją osiągnąć nawet w jej ustronnej willi, nie chcąc przytem narazić na zgubę tej, która ocaliła jej życie, zapytała Asktei w chwili, gdy już wsiąść miała do łodzi, czy czuje się na siłach dostać się do brzegu, którego

ciemna linja majaczyła w oddali. Aktea odgadła myśl Agrypiny, mimo to chciała koniecznie towarzyszyć jej; jednak matka cezara rozkazała stanowczo, by ją opuściła przyrzekając, że ją do swego orszaku przywoła, gdy się dostatecznie zabezpieczy sama. Aktea musiała usłuchać rozkazu i lekka jak łabędź, szybko popłynęła ku przeciwnemu brzegowi.

Agrypina zbliżając się do lądu, zauważyła, iż całe wybrzeże dziwnie jest ożywione. Liczne światła snuły się w różnych kierunkach, słychać było krzyki, których znaczenie trudno było zrozumieć. Zdradzały one jakąś trwogę i zamęt. Jakóż ów zamęt był sprawą Aniceta. Wróciwszy do Bauli, rozpuścił on wieść o rozbiciu się triemny i zatonięciu matki cezara. Wieść ta poruszyła jej niewolników, klientów i przyjaciół, którzy niezwłocznie rozbiegli się po nad morzem w nadziei, że fale wyrzucą ją, wraz ze szczątkami statku, żywą lub umarłą. Gdy więc ukazał się biały żagiel, cała ta ciżba rzuciła się ku miejscu, w którem łódź miała przybić do lądu, a skoro dowiedziano się, że wiozła ona Agrypinę, żałobne okrzyki zmieniły się w wybuch radosnej wrzawy. Matka cezara, skazana na okropną śmierć w jednej stronie zatoki, wylądowała w drugiej z prawdziwym triumfem, niesiona na ramionach swoich sług wśród niepomahowanego zapалу ludności, która jej towarzyszyła aż do jej willi; potem cała ta rzesza pozostała u drzwi, a zwiększając się z każdą chwilą, domagała się wrzaskliwie, by ta, której Senat z rozkazu cezara przyznał tytuł Augusty, ukazać się raczyła raz jeszcze jej oczom.

Te dowody życzliwości nie były na rękę Agrypinie, przeciwnie, przejmowały ją trwogą,

wszelką bowiem popularność u ludu Neron poczytywał niejako za występki, za uchybienie jego osobie, zwłaszcza jeżeli otaczała tych, których on nienawidził lub skazał. Wiedziała o tem dobrze, dlatego też nie uczyniła zadość domaganiom się tłumu, ukryła się w swej sypialni, najstronniejszej ze wszystkich komnat willi i przywoławszy zaufanego wyzwolenca Agerinusa, rozkazała mu udać się do Nerona z wiadomem już nam zawiadomieniem. Potem kazała opatrzyć swe rany, oddała wszystkie kobiety i położyła się, osłaniając głowę płaszczem. Krzyki wciąż trwały, Agrypinę zaś dręczyły najczarniejsze myśli. Znając syna wiedziała, iż nie poprzestanie na nieudanym zamachu.

Nagle okrzyki umilkły, wrzawa ustała, zgasły pochodnie, których blask jaskrawy odbijał się w oknach jak łuna pożaru. Dreszcz trwogi przebiegł Agrypinę, czoło jej zimnym oblało się potem, wiedziała bowiem, że nie bez przyczyny nastąpiła ta zmiana — coś straszego snąć uciszyło wrzawę i zgasiło światła. Jakoż wkrótce dał się słyszeć odgłos zbrojnej gromady, wkraczającej na podwórzec willi, a następnie do przedsionków i komnat.

Agrypina przysłuchiwała się tym groźnym zwiastunom z zapartym w piersi oddechem. Nie ruszała się z miejsca, nie mogła bowiem nawet marzyć o ukryciu się lub ucieczce. Wreszcie drzwi sypialni rozwarły się, a stanął w nich wyzwolennic Anicetus, tetrak Hercules i centurjon morski Olaribus.

Spostrzegłszy Anicetusa, którego знаła jako powiernika i niekiedy wykonawcę krwawych rozkazów Nerona, Agrypina zrozumiała, że jest zgu-

biona. Nie uciekając się do błagań, rzekła spokojnie:

— Jeżeli przybywasz jako posłaniec, oznajm synowi mojemu, żem zdrowa; jeżeli zaś jako kat, czyn swą powinność.

Za całą odpowiedź Anicetus obnażył miecz, zbliżył się do łoża, Agrypina zaś, zrzucając okrywania ją płaszcz, zawołała:

— Więc uderzaj!

Anicetus wznosił miecz i zadał jej cios. Nie zawahał się, nie zadrżała mu ręka — był zaprawiony w rzemiośle siepacza.

Tymczasem Aktea, rozstawszy się z Agrypią, płynęła ku brzegowi; gdy się już zbliżała do lądu, ujrzała pochodnie i usłyszała krzyki, których znaczenia nie umiała sobie wytłumaczyć. Czując się jeszcze dość silna, postanowiła, przez ostrożność, wyjść na brzeg z drugiej strony Puzoli. Aby się jeszcze lepiej ukryć, płynęła około mostu Kaliguli, trzymając się w ciemnym pasie cienia, który na powierzchnię morza rzucił i chwytając się co chwila za pale, dla wzmocnienia sił przez chwilowy chociaż spoczynek. Znalazłszy się o trzysta kroków od końca mostu, spostrzegła błyszczące w świetle księżyca hełmy wartowników; zwróciła się więc znowu ku morzu, chociaż siły już ją opuszczały, drętwiały ręce, a piersi z trudnością chwytaly powietrze.

Ujrzała nakoniec, niski, ciemny i samotny brzeg, dogodny do wylądowania, więc chociaż ją jeszcze dolatywały okrzyki z Bai i chociaż widziała migocące w tamtej stronie światła, zwróciła się do owego brzegu. Naraz zaczęło się z nią dzieć coś dziwnego. W oczach wszystko zaczęło się mącić, przesłaniał je jakiś obłok, wśród którego

snuły się błyskawice; uszy napełnił szum wzmagający się bezustannie, jak gdyby morskie potwory biły koło niej morze płetwami; chciała krzyczeć, wołać o pomoc, lecz usta jej napełniły się wodą i bałwan przeleciał przez głowę.

Czuła, że zginie, jeżeli wszystkich sił nie wyteży; konwulsyjnym rzutem zdołała wychylić się do połowy ciała ponad powierzchnię morza, co jej pozwoliło głębiej odetchnąć. Spostrzegła teraz upragniony brzeg znacznie bliżej, ostatnim wysiłkiem zwróciła się ku niemu. Po chwili wszakże uczuła, że ją ogarnia odrętwienie, myśli bez związku i ładu tłoczyły się do głowy, przed oczyma snuł się istny chaos obrazów... Stanęło przed nią wszystko, co miała najdroższego na świecie, przesuwano się przed nią całe jej życie... Widziała się dziwego ojca, wyciągającego do niej ręce, wzywającego na brzeg, ale jakaś siła fatalna odbierała władzę członkom, ciągnąc w głębie morza. Zabrzmiała potem w jej uszach i zajaśniała świetnym blaskiem rozpustna biesiada. Neron śpiewał bezwstydną strofą, ulubieńcy przyklaskiwali mu, tancerki wykonywały ohydne płasy, obrażające oczy. Chciała uciekać, ale nogi jej zaplątały się w girlandach kwiatów. W tych usiłowaniach zwróciła oczy ku przedsionkowi i ujrzała majestatycznego starca, z obliczem pełnem dobroci, który ją wołał do siebie skinieniem. Dokoła jego skroni błyszczał krąg świetlny, rozjaśniający całą tę postać czcigodną. Aktea nie mogła oczu oderwać od jego oblicza. On powtórzył znak wzywający, Koryntjanka zaś zrozumiała, że zostanie ocalona, jeżeli się zdoła zbliżyć do niego. Naraz uczuła, że tonie i rozpaczliwie krzyknęła. Wydało się jej, że jest niesiona jakby we śnie, potem, że stacza się

snuły się błyskawice; uszy napelnił szum wzmagający się bezustannie, jak gdyby morskie potwory biły koło niej morze pletwami; chciała krzyścić, wołać o pomoc, lecz usta jej napelniły się wodą i balwan przeleciał przez głowę.

Czuła, że zginie, jeżeli wszystkich sił nie wyteży; konwulsyjnym rzutem zdołała wychylić się do połowy ciała ponad powierzchnię morza, co jej pozwoliło głębiej odetchnąć. Spostrzegła teraz upragniony brzeg znacznie bliżej, ostatnim wysiłkiem zwróciła się ku niemu. Po chwili wszakże uczuła, że ją ogarnia odrętwienie, myśli bez związku i ładu tłoczyły się do głowy, przed oczyma snuł się istny chaos obrazów... Stało przed nią wszystko, co miała najdroższego na świecie, przesuwano się przed nią całe jej życie... Widziała sędziwego ojca, wyciągającego do niej ręce, wzywającego na brzeg, ale jakaś siła fatalna odbierała władzę członkom, ciągnąc w głębie morza. Zabrzmiała potem w jej uszach i zajaśniała świetnym blaskiem rozpustna biesiada. Neron śpiewał bezwstydną strofą, ulubieńcy przyklaskiwali mu, tancerki wykonywały ohydne płasy, obrażające oczy. Chciała uciekać, ale nogi jej zaplątały się w girlandach kwiatów. W tych usiłowaniach zwróciła oczy ku przedsionkowi i ujrzała majestatycznego starca, z obliczem pełnem dobroci, który ją wołał do siebie skinieniem. Dokoła jego skroni błyszczał krąg świetlny, rozjaśniający całą tę postać czcigodną. Aktea nie mogła oczu oderwać od jego oblicza. On powtórzył znak wzywający, Koryntjanka zaś zrozumiała, że zostanie ocalona, jeżeli się zdoła zbliżyć do niego. Naraz uczuła, że tonie i rozpaczliwie krzyknęła. Wydało się jej, że jest niesiona jakby we śnie, potem, że stacza się



ze stromej góry. U podnóża tej góry natknęła się na ostry kamień, uczuła ból przejmujący, aż wreszcie zapadła w zupełną niepamięć.

Gdy przyszła do siebie, była noc jeszcze; leżała na brzegu owinięta szerokim płaszczem; a człowiek jakiś, klęczący obok, unosił jej głowę. Podniosła oczy ku zbawcy, poznała starca, którego widziała w przedsionku biesiadnej komnaty. Była to ta sama postać łagodna, czcigodna, cicha, tak, iż mniemała, że wciąż jeszcze marzy.

— Mój ojczel — wyszeptała — zawołałeś mnie do siebie — i oto jestem. Ocaliłeś mi życie — wyjaw mi przeto swe imię, bym mogła je błogosławić...

— Imię moje Paweł — odrzekł.

— Kto jesteś?

— Apostoł Chrystusa.

— Nie rozumiem cię, — rzekła Aktea — ale mniejsza o to — ufam ci, jak ojcu. Prowadź mnie, gdzie zechcesz, a pójdę bez wahania.

Starzec wstał i powiodł ją za sobą.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

